

Wias

tygodnik społeczno-literacki

Rok VII

Warszawa, dn. 16. VII. 1950 r.

Nr 28 (259)

WŁADYSŁAW MACHEJEK

FUNDAMENTEM KOLCHOZU — CZŁOWIEK

Po przyjeździe ze Związku Radzieckiego znajomi chłopcy na początku zadawali nam jedno pytanie: co tam w kolchozach jest najbardziej godnego uwagi, najbardziej znanego? Niezmiennie powtarzali: największe cudo kolchozów to człowiek radziecki, nowy typ człowieka, socjalistycznie wychowanego, socjalistycznie żyjącego. Nieraz przyjdzie mi podziwiać człowieka radzieckiego w kolchozach w różnych sytuacjach, dziś w tym pierwszym artykule chciałbym przedstawić jego „narodzinny”, człowieka formującego się razem z fundamentami kolchozów w ostrej walce klasowej z układowi i w ostrej walce z własnymi starymi nawykami.

Zwiedziliśmy szmat ziemi radzieckiej. Historia pierwszych lat życia kolchozów zawsze miała ten sam sens — mówią kolchoźnicy — przeszkadzał nam kułak, pomógł państwo radzieckie. Żeby zwyciężyć zły los, trzeba było pokonać kułaka. Ale to mało, kułak w niejednym z naszych serc posiał nasiona wątpliwości, niejednego średniaka, zraził kapitalistycznym stosunkiem do własności i pracy. Wszystko to trzeba było uporczywie rąbać, codziennie, nieustannie w skali milionów.

Zaczynaliśmy więc od początku — przykładami. Przysłuchajmy się opowiadaniom bezbłędnego, siwiutkiego starszaka Ratko w kolchozie „Bolszewik” (wsi Podeszcze obwodu czernihowskiego). Ratko opowiadał swe życie na przyjęciu delegacji kolchozów w klubie kolchozowym.

czekało, bało się. Zaczofanie zapuściło głębokie korzenie w ich sercach i głowach. Nawet dzisiaj stachanówka Klimenko Maryna z kolchozu „Komintern” ze wsi Hurbińce zanosiła do cerkwi świeczki, prosiła popa o zmianę losu. Niczego nie rozumiała. Kułacy straszili ją nędzą, oliwy do zgiegła dolewał pop. Dziś Klimenko Maryna śmieje się przez łzy szczęścia. — Tyle mam zboża dzisiaj — mówi i tyle cukru, że nie wiem, co z tym doprawdy zrobić.

W kolchozie im. Woroszyłowa we wsi Antonówka (rejon warwiński) uciałem sobie krótką, pouczającą historię rozmówkę ze starszym Masłowem. Działo się to między jednym a drugim toastem na cząstę Budowniczego szczęśliwego życia kolchoźników — Wielkiego Stalina.

— Czemu się tak długo namyślałem? — zaczął Masłow od mojego pytania. Tak, tak — z wyrzutem wspominał — ja dopiero przystąpiłem do kolchozu w 32 roku, po dwóch latach jego istnienia. Ot, wrogiem największym człowieka jest głupota. Coż o sobie mogę powiedzieć? Miałem 8 hektarów wszystko mi wiało z biedniakami, bo gdy koń mi padł, to musiałem krwawo zapłacić kułakowi za obróbkę ziemi. Byłem wyzyskiwany, ale zarazem „cieple kłuski”, tak jak to często bywa z chłopami. Za długo ten i ów zdobywa się na decyzję. Dopiero dostałem szturchańca i wstałem.



„Lniarze” z kolchozu „Kraj Rad” na swoich polach.

sławny pisarz Aleksander Twardowski opisuje śmieszne przykłady z okresu kolektywizacji... Śmieszne, ale niestety prawdziwe. Ścierały się wtedy różnorodne charaktery, by dać to, co teraz — dzisiejszego człowieka. W tym, co ten pisarz opisuje nie ma nic zabawnego, jest tylko nauka, że dobre stanie się wolą większości i zwycięży zło, choćby było najbardziej tradycyjne...

Był taki chłop w Rosji — opowiadał Ratko za Twardowskim — któremu się nie podobała kolektywizacja. Napisał list do Stalina... Szukał takiego miejsca w Rosji, gdzie stare jeszcze egzystuje, jeśli to twoje szczęście — odpowiedział Stalin. Nikt cię nie zmusi do nowego, jeśli sam nie jesteś w to nowe przekonany. Dobrze — pomyślał zadowolony chłop — poszukam... A to było szukanie wiatru w polu. Wsiadł na kobylicę i poszedł się wyciecz od wsi do wsi. Wszędzie jednak chłopcy zakładali kolchozy. Po drodze przycepił się do niego pop-bradziaga z synem, który także szukał „szczęścia” (w tej wsi, gdzie się poznali nie było jeszcze kolchozu). W nocy pop-bradziaga zabrał chłopca kobylicę i uciekł, a zostawił syna. Nazajutrz w tej wsi założono kolchoz. Chłop skapitulował wrócił do swojej wsi i przykro mu chyba było, tak jak mnie — dodał cicho. Ze inni tworzyli nowe, lepsze życie a ja patrzyłem z boku.

Zapalił papierosa, wypuścił dym przez dziurki nosa i opowiedział znowo o innym wypadku, świadczącym o zwycięstwie instynktu społecznego, kolektywnego w duszy chłopca nad egoizmem.

— Był taki średniak, który poskapał swej pięknej kobylicy dla kolchoznej stajni. Umyślił sprzedać ją na rynku, a kupić i oddać gorszą. Sprawa początkowo niby dobrze się ułożyła, znalazł bowiem na rynku chłopca, który poszukiwał lepszej kobylicy za wymianę na gorszą. Ma się rozumieć obiecywał dopłatę. Obaj poczęli od zwierzeń... Posiadacz ładnej kobylicy zdziwił się — kon-

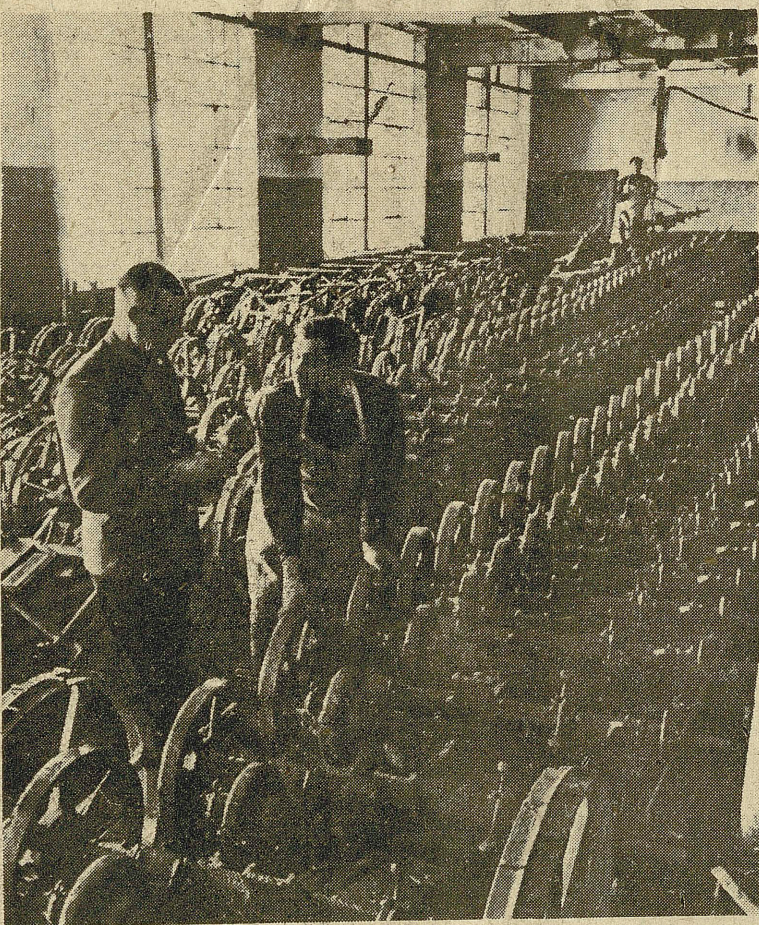
trahent przeciwnie niż on przyjechał wymienić kobylicę na lepszą, bo wstydził się oddawać „szkuta” do wspólnej stajni... Wyznając to zastanowiło głęboko posiadacza ładnej kobylicy... Coś tam propozycję, wrócił na ładnej kobylicy do wsi i oddał ją do kolchozu.

W tym czasie, gdy przez serca jeszcze chwających, jeszcze niezdecydowanych przechodziła ostra walka z nawykami, gdy w tych sercach waliły się stare pojęcia, kułak starał się zniszczyć kolchoz, wprost lub od wewnątrz. We wsiach, gdzie przed kolchozem istniał artel — w czasie istnienia artelu często wazyły się dramatycznie losy kolektywnej gospodarki. (Artel, jak wiemy, był stowarzyszeniem wspólnej uprawy ziemi). Coż, artel często był zdany na łaskę kułaków, nie było maszyn, państwo radzieckie jeszcze biedne, budowało dopiero przemysł. Właśnie kolchoz im. Szewczenki we wsi Szuszkowa (obwód połtawski) powstał z artelu, który założono już w 1923 roku. Maszyn nie mieli, pożyczali kułacy, ale gdzie tam — sabotowali rozporządzenia (sprawa układała się mniej więcej tak samo, jak z pomocą sąsiadką w Polsce). Solą w oku kułackim była ta pierwsza niesmiata, artelowa emancypacja biedoty. Maszyn ciągle „były zajęte”, „wczoraj stały wolne”, „nie macie, to kupcie sobie”. Tak dwa lata przetrwał w uporczywej walce ten lilipuci artel 53 — hektarowy. W 1925 roku państwo przydzieliło artelowi traktory. Znaczący się zwrot na lepsze. Lenin, pisząc o perspektywach kolektywizacji powiedział: „dajcie mi 100.000 traktorów a przekonam wszystkich średniaków o dobrodziejstwie pracy zespołowej”. Kolchoźnicy w Szuszkowie wspominają te słowa, byli żywym przykładem oddziaływania traktora na psychikę pracującego chłopstwa. Od 1925 roku nieprzerwanie przystępują średniacy do artelu. Siła kułaków miała się ku końcowi. W 1929 roku organizacja partyjna rzuciła hasło: rozszerzyć ramy kolektywnej gospodarki! I wtedy powstał kolchoz.

Takie same etapy rozwoju przechodzili kolchoźnicy we wsi Zenholówka (kolchoz im. Stalina), z tym, że kułacy długo jeszcze nie dali za wygraną. Artel przemienił się w kolchoz. Przewodniczącym został młody komunista, bohater wojny domowej. Walczył zwycięście z kułakami broniąc dobra kolchozowego przed ich chciwością. Przeszły pierwsze zimy, na polach stały się pękate serty... Pewnej nocy niebo nad Zenholówką rozświetliła czerwona luna pożaru, palły się serty, palły się zabudowania gospodarcze. Kolchoźnicy wybiegli z domostw w pogoni za złoczyńcami, na drodze napotkali martwe ciało swego przewodniczącego — padł pierwszy w obronie szczęśliwego życia. Ma się rozumieć, że potem przystąpiono do energicznej walki z kułakami, zastosowano metodę rozkulaczania. W Zenholówce zakwitło nowe życie na gruzach. Na własnych plecach wnosili kolchoźnicy bale i kamień na budowę budynków gospodarczych, pazurami drapali ziemię. Hartowali się jak stal. I jakby stała przeorała ziemię i zły los. Ciężkie życie i ciężka walka stoczyli także chłopcy w Hurbińcach (rej. szepiński), gdzie w rękach 10 proc. dziedziców i kułaków znajdowało się 70 proc. ziemi. W kolchozie im. Szewczenki z trudem przypominają sobie, że tu gdzie stoi teraz klub — był dwór... Przeszło — zaczęło się szczęśliwe życie.

Takie były początki kształtowania się psychologii radzieckiego chłopca — aż otrzymaliśmy gotowy wzór do naśladowania...

o wyniki to motor powodzenia kolchozów. Ten motor gra w sercach i umysłach wszystkich kolchoźników — szybciej, lepiej, więcej. Dziś słynie na cały świat miczurińska „pszenica przyszłości” — pszenica krzaczasta, osiągająca plon ok. 100 q z ha, ale mało kto pamięta, że prosta kolchoźnica ubecka Musłima Boghiewa już 10 lat temu przysłała sноп takiej pszenicy na ogólnokrajową wystawę rolniczą w Moskwie. Pszenica ta zaklimatyzowana przez nią samodzielnie dała już wtedy 70 q z ha. I znowu ta troska o dosyt chleba dla narodu grała tu dominującą rolę. Obraz człowieka radzieckiego przedstawiony w tym szkicu nie będzie pełny, ale na zakończenie chciałbym wymienić jeszcze jedną jego cechę, która i nas podczas wycieczki złapała silnie za serce aż utkwiała łzami gdzieś w oczach. Jest nią życzliwość szeroka, przyjacielska, możliwa do zdobycia tylko przez wychowanie socjalistyczne, gdy człowiek człowiekowi przestał być wilkiem. Życzliwość ta wyrażająca się b. często w pomocy sąsiedzkiej kolchozów usuwa braki i podgania słabsze kolchozy: np. kolchoźnikom z kolchozu im. Woroszyłowa w Antonówce wydawało się, że hodowla świń w kolchozie im. Szewczenki koło Nosówki idzie nie bardzo... Wobec tego zaprosili hodowców świń z owego kolchozu do siebie, pokazali im jak się żywi świnię, by szybko przybrały na wadze itd. Rada sąsiadka pomaga. Wypadki tego rodzaju życzliwości można by wymieniać w nieskończoność. Toteż



W fabryce maszyn rolniczych pod Moskwą.

— Ciężkie było życie takich jak ja, a takich jak ja biedowało we wsi takich jak ja, w Rosji miliony... Ojciec miał zaledwie trzy czwarte dziesięciny, to też kułacy nazywali nas „torbiarzami”. Coż to znaczyło? To znaczyło, że trzeba było na przednówku brać worki na plecy i puszczać się na bogatsze wsie zebrząc o kawałek chleba. Nie mogło być żadnych zapasów u pracującego chłopca bo z czegoż? U pomieszczyków (dziedziców) pracowaliśmy za dziewiąty snopek — osiem snopków dla pana, dziewiąty dla siewcy i zniwiarza. Pan tymczasem przebywał w jakimś tam Capri, hulał z kobietami, a naród marł z głodu. Z tej niesprawiedliwości wyratowała nas dopiero Rewolucja Październikowa, przepędziła pomieszczyka-dziedzica, dała nam ziemię. Ale nie mieliśmy narzędzi, miał je natomiast kułak. On także miał konie. I znowu groziła nam niewola. Każdy środek przeciwko niemu był za delikatny, każda organizacja za słaba. On rósł z roku na rok i słońce zasłaniał. Skuteczną organizacją przeciwko wyzyskowi i nędzy okazał się dopiero kolchoz.

— Ale nie wszystkich chwyciła od razu nowa organizacja. Wielu przede wszystkim średniaków wy-

— Jak to szturchańca? Zmuszał was kto? — Rozesniał się szeroko, szczerze z mojej podejrzliwości i przeczeszał palcami z ukontentowaniem siwą jak mleko brodę, zadowolony, że mu się udało słowo.

— Tak, dobre mnie zmusiło, córka moja wstąpiła do kolchozu od razu i była dla mnie przykładem, że tam w zespole lepsze życie.

— Masłow ma jednak żal do dziś dnia, że stracił dwa lata na namyślaniu się. Tak jakby się dwa lata później narodził... Powoli wycedził wino ze szklanki, przymrużył spokojnie oczy i spytał sam z siebie:

— Boją się u was średniacy kolektywnej gospodarki?

— Ruszyli lody — stwierdziłem obiektywnie, ale reakcja strasy bzdurami. Nie dziwiło się więc, że delegaci chłopscy tak dokumentnie obmacują wszystko, przysłuchają się wszystkiemu ze wszystkich stron. Mają na karteczkach dziesiątki pytań... Odpowiedzą na nie szczególnie, w gromadach, które ich wysłały, szybkoiej przekonają chwiejnych.

— Mam czas czytać — zwierza się Masłow — wiecie wyczytałem ciekawego do rozmyślań. Taki



Zebranie w świetlicy kolchozu.



Kombajn na polach Ukrainy.

świetnie łączy dobro swoje z dobrem społecznym, które jest także jego. Kolchoźnik słuchając głosu Partii, znalazł rozwiązanie szczęśliwego życia w zgodzie z naturą i z naturą osobistych ze zbiorowością i gospodarką kolektywną. Tym tłumaczy się sukcesy kolchozów i ich wspaniały rozwój. W kolchoźnikach żyje niezmordowana troska o coraz wspanialsze sukcesy pracy o coraz większą wydajność. Kolchoźnik jest ciągle niezadowolony z wyników. W kolchozie im. Szewczenki zwierzał mi się polowcy: „osiągnęliśmy z hektara 20 q pszenicy, ale ogniwo Klauddii Łukasze-wicz uzyskało plon 31 q z ha. A więc przeciętna z całego obszaru jest za niska. Musimy się postarać aby wynik Klauddii Łukasze-wicz uzyskać na 8 ha, był przeciętnym na 200 ha. Więc znaczy, że my nie wszyscy jeszcze dobrze pracujemy”. Tak samo skromnie myśli o sobie kolchoźnica Wilcenko w kolchozie im. Szewczenki w Iwani-cach... Gdy jej gratulujemy zobowiązania osiągnięcia 500 q buraków cukrowych z ha, macha skromnie ręką. — Eh, co to jest... W Kazachstanie Olga Gonorzenko osiągnęła 1515 q z ha a teraz się bije o 1.700 q. To mi rekord... Właśnie ta niezmordowana troska

świadczy o nowym typie człowieka.

Jadąc do ZSRR, myślałem, że spotkam tam człowieka starego i nowego. W socjalizmie jednak ci starzy narodzili się poraz drugi i są młodzi jak ich dzieci. W ciągu dziesięcioleci pisarze burżuazyjni deklamowali się rozzłością między „ojcami” a „dziećmi”. Jak wiemy na tej marnej filozofii zerował także faszyzm. W społeczeństwie radzieckim rozzłość taki jest nie do pomyślenia. W kolchozie im. Szewczenki zwierzał mi się polowcy: „osiągnęliśmy z hektara 20 q pszenicy, ale ogniwo Klauddii Łukasze-wicz uzyskało plon 31 q z ha. A więc przeciętna z całego obszaru jest za niska. Musimy się postarać aby wynik Klauddii Łukasze-wicz uzyskać na 8 ha, był przeciętnym na 200 ha. Więc znaczy, że my nie wszyscy jeszcze dobrze pracujemy”. Tak samo skromnie myśli o sobie kolchoźnica Wilcenko w kolchozie im. Szewczenki w Iwani-cach... Gdy jej gratulujemy zobowiązania osiągnięcia 500 q buraków cukrowych z ha, macha skromnie ręką. — Eh, co to jest... W Kazachstanie Olga Gonorzenko osiągnęła 1515 q z ha a teraz się bije o 1.700 q. To mi rekord... Właśnie ta niezmordowana troska

Tak, wywołana praca niesie w kolchozach radość i dobrobyt.

Władysław Machajek

BRONISŁAW CHECIŃSKI

D Z I A D O W I Z N A*)

Janek Kamiński schodził z kopalni w dół. Ominął nowy piec, przepchnął na bok stojący na przejściu wózek, podstawiony pod wapno. Przez zamurowane kamery nowego pieca przebiegał żar wypalający się wapna. W szczytnach popekano od gorąca tymczasowego zamurowania. Kwitł biały blask paleniska. Robotnicy spod nowego pieca otrząsali się i wycierali twarze z wapna, prostowali plecy i uchyłając jedną ręką czapek, palcami drugiej przeczesywali włosy. W ruchach ich widać było zmęczoną powolność.

Jesienne popołudnie zbiegało się z wieczorem. Słońce staczało się po zboczu drugiego wzgórza wapniowego, by zniknąć u jego podnóża, pokrywającego się z górnym zarysem dalekiego lasu. Robotnicy schodzili wolno na szosę. Nie było się teraz co śpieszyć. Co innego w południe, kiedy to w ciągu godziny trzeba było zdążyć na obiad i powrócić do pracy. Niekiedy zatrzymywali się przed sklepikiem Lachety, wchodzili na lemnadę, lub papierosa.

Z daleka zauważył Kamiński przyjeżdżającego na szosę młodego Pylera i rad byłby go ominąć, lecz nie chciał już zwracać. Nie spodziewał się też, że Pytler zwróci na niego specjalną uwagę. Pytler stojąc, patrzył po przechodzących robotnikach. Wyglądało jakby ich liczył. Jego spojrzenie w stronę Kamińskiego towarzyszyło pionowy ruch daszka cyklistówki. Pod daszkiem poruszyła się wygolona i jasna twarz. Prawy kąt ust wykrzywił osłobiony grymas, mający oznaczać uśmiech.

— Jak się tam Kamiński, czuje przy młodej gospodyni? — Pod wpływem wypowiedzianych słów rozchylił się i drugi, lewy kącik ust. Między wargami błysnęła bielą i złotem zębów.

— Dziękuję, owszem — tak sobie, odpowiedział Kamiński. Prawą rękę unosił bez specjalnego pośpiechu do góry i trzem palcami uchylił lekko czapkę.

— A co to zapomnieliście mnie Janek poprosić na wesele? — Kamiński jakby był przygotowany na podobne pytanie, bo odpowiedział bez dłuższej zwłoki. Słowem jego towarzyszyło lekko ironiczne wykrzywienie warg.

— Co by tam pan inżynier robił na chłopskim weselu? Gdy się ludzi do izby napała, to się można uduśić. Siedzieć by w powietrzu zawieszili, takie gęste od smrodu.

— Bo ja to na jednym weselu we wsi byłem! Nie jest — tak źle. Lubie sobie czasami wyskoczyć oberka.

— Nie wiedziałem.

— No, nie mam pretensji do Kamińskiego. I tak bym nie miał czasu iść. Z ostatnim słowem Pylera zmieszali się suchy trzask łaski o kamień. Potrącona bryłka wapienia potoczyła się na bok z furkotem.

— Co ten cholerny katarzyniarz chciał od ciebie, Janek? Z pytaniem na ustach zbliżył się do Kamińskiego Karkosz.

— Kręci tą laską jak prawdziwy katarzyniarz, dodał tonem wyjaśniającym sens przewiska.

— Pytał się, dlaczego nie zaprosiłem go na wesele.

Powiada, że lubi sobie czasem wyskoczyć oberka.

— Tak, lubi. On by jeszcze wyżej wyskoczył w łózkę, żebyś go tak bracie do kobiecy puścił. Dobrześ zrobił, żeś go na wesele nie prosił. Niech wie, że w Pogórze ludzie pomalutką madrzeją. Karkosz splunął i ręką obtarł wąsy.

Chodźmy do Lachety, zapalimy jakiego papierosa. Karkosz wskazał oczami wejście do sklepiku, zatłoczone o tej porze robotnikami.

W sklepie było również pełno ludzi. Niekiedy wysypywali z kieszeni szczerpe grosze, inni brali na kredyt. Lacheta, szczerpy Żydek średniego wzrostu, w wytartej marynarce, o chudej, rzadko golonej twarzy, ugiął się za ladą, nawoływał żonę i chandryczył się z klientami. Nie wszystkim chciał dawać na kredyt. Niekiedy mieli już zbytnio obciążone konta. Do takich mówił Lacheta nerwowo:

— Ja wam już więcej nie mogę dać. Nie wiem, czy mi to oddacie, coście mi już winni. Ja nie mogę zdychać z moimi dziećmi. Już i tak jestem czysty bankrut.

— No, dajcie jeszcze, dajcie, Lacheta. Mnie się nie tyle w fabryce należy. Dostanę wypłatę, to wam do grosza oddam.

— Dajcie, dajcie, a skąd ja mam brać, wpadał gorączkowo Lacheta w zdanie proszącego klienta. — Każdy mi mówi, że mu się u pana należy. Co z tego? Wy macie u pana ja mam u was, ale nikt od nikogo nie odbiera. A mnie to co, z rzeką płynie. Okalnia mi niesie! Ja muszę za każdą drobność gotówką płacić. Mnie nie chcą borgować.

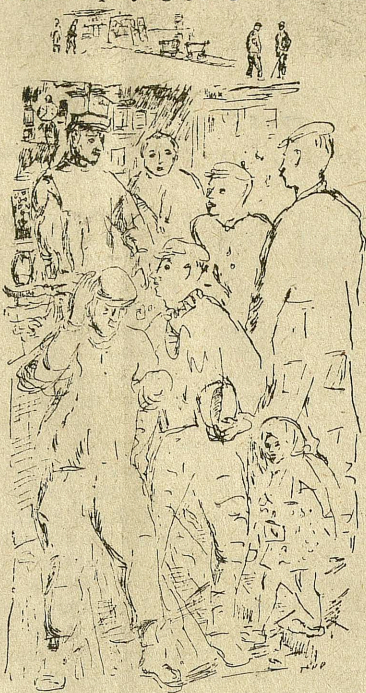
To nie moja rzecz, co wy macie z panem. Należy wam się, niech wam płaci, starajcie się o to.

— Przecież nam musi kiedyś wypłacić.

— Ja wiem, czy musi. Kto go przymusi? Macie związek, macie partię, zaprowadzacie strajki i co z tego? Denerwujecie go tylko i nie więcej. Ja was zresztą nie będę uczył, ja sam jestem głupi na to wszystko. Mówia, że jest kryzys. Co znaczy kryzys? Dlaczego ja mam cierpieć, dlaczego moje dzieci mają cierpieć?

Przy wtórce takiego narzekania Lacheta kroił i ważył biały chleb, nasypywał w papierowe torebki makę, cukier, sól, zawiązywał w papier śledzie, ogórki, liczył papierosy, nalewał naftę do butelek, wycierał ręce i znowu powracał do maki lub kaszy. Z ciężkim westchnieniem brał do ręki zatłuszczony brulion, wyszukiwał odpowiednią stronicę i pod nazwiskiem klienta, w długim rzędzie cyfr, wpisywał nową pozycję.

Zona Lachety, równie zaniedbana w ubiorze jak on, wychodziła co chwila z przylegającego do sklepu



Rys. Stefan Gierowski

mieszkania i pomagała mężowi w pracy. Była ona niska, okrągła i mówiła cinkim, skrzeczącym głosem. Widząc, że mąż dał się uprosić na nowy kredyt, zwracała mu uwagę:

— Znowu pieszysz, znowu borgujesz? Powiedziałeś przecież, że już więcej na kredy nie będziesz dawał.

— No to mi łeb urwą, gdy im na kredyt nie dam. No, co mam robić, co mam robić? Chyba zwinąć cały ten kram.

Kramu Lacheta nie zwijał, prowadził sklepik dalej. Z każdym rokiem chudł i garbaciał. Jego sześcioro dzieci potrzebowało jeść i ubrać się. Lacheta klepał biedę z rodziną, mieszkał w jednej izbie ze sklepem, w wielkiej ciasnocie. Wraz ze wzrostem ceny potrzebnych rzeczy, należało robotnikom pogarszać się i u niego. Przez wiele lat przyzwyczaili się do fabryki i ludzi fabrycznych. Znał wszystkich wo wsi, a młodszy młodził z wyjątkiem „ty”. Zestarał się w Pogórze, gdzie miał szukać lepszego miejsca?

Lacheta miał średnie wykształcenie, ale nie uważał się za inteligenta. Żył jak można najprościej, między prostymi ludźmi. Ludzie mówili: — Lacheta, Lacheta, pokpiwali sobie nierzaz z jego żony i z niego potrochu, ale cenili jego rozum i wykształcenie. W wielu sprawach radzili się go. Pisał podania do władz, tłumaczył stare akta z języka rosyjskiego, albo listy do robotników od niemieckich bauerów. Nie chwalił się nigdy tym co umiał. Wielu analfabetów nauczył czytać i pisać, gdy jeszcze szkoły w Pogórze nie było. Janek Kamińskiego Lacheta znał i cenil jako człowieka bystrego, który pragnie coś wiedzieć i rozumieć. Lubil z nim rozmawiać i często udzielał mu wiadomości i informacji z różnych dziedzin. Mimo, że teraz bardzo był zajęty obsługiwaniem kupujących, zauważył go z daleka. Uśmiechnął się przyjaźnie i nasypując szufelką sól do torebki, powiedział do niego:

— Co słychać, panie Janku, co nowego w polityce? — Pytanie zakończył na wpół serio na wpół żartobliwym tonem.

— Wy tam, Lacheta, lepiej wiecie, co słychać, odparł Janek zbliżając się do kontuaru.

— Nie wiem, nie nie czytałem jeszcze dzisiaj, żadnej gazety. Nawet mi się czytać nie chce. Ciagle jedno i to samo pisać. Kryzys, kryzys, bezrobocie, strajki, tak dookoła Wojtek.

Ruch w sklepie ustał. Robotnicy stali pod ścianą, lub siedzieli na ławce pod oknem, operali się o stojące worki. Lacheta kroił szczyrkami biały chleb piekarski i jedli go na sucho, bez niczego. Mimo to smakował jak przysmak, w porównaniu z wiejskim, kwaśnym razowcem.

— Musiałem sobie wziąć u Lachety funt kupnego chleba, mówił jakby tonem usprawiedliwienia do Karkosza. Walek Curyło. Od tego domowego koku już mnie zgaga tak piecze, jakbym się siarki nalał.

Niekiedy pili lemnadę, inni palili papierosy i rozmawiali. Z rzadka przeciskał się ktoś do sklepowego bufetu. Lacheta korzystając z przerwy w sprzedaży, wsparł się na chwile o ladę i zwracając się w stronę Janek Kamińskiego i stojących przy nim, kończył rozpoczętą przed chwilą kwestię.

— A kto winien, że jest kryzys, że bezrobocie, że strajki? Ja winienem, albo wy jesteście winni? My nie jesteśmy winni, nam kryzys niepotrzebny. Czy ja jestem kapitalista? Ja chcę żyć jak drugi. W dziurawych łapiach chodzę, psiakrów. Lacheta podniósł oparty na blacie łady łokieć prawej ręki, pociągnął palcami bielejącą w rozdartym miejscu podszewkę rękawa.

— Niedługo lokcie wyjdą mi na wierzch z wytartej marynarki. Na nowe nie można zarobić.

— E, wy tak tylko od oka pokazujecie Lacheta. Wpadł w marynarcę chodząc, a dolary w skrzyni chowacie. — Karkosz próbował swoim zwyciężstwem zażartować z Lachety. Ten uśmiechnął się cierpko, wzruszył ramionami, odwrócił twarz w inną stronę i powiedział raczej do siebie.

— Mam dolary. Będę miał dolary, nie wiem z czego. Chyba z tego smrodu, co mi tu zostawicie. O, jest dolar, wskazał najmłodszego syna. — Są dolary, żywe. Zwrócił się teraz do chłopca i wskazując mu palcem pod nos, pytał z udaną powagą.

— No co, Heniek, nie mogłeś się równo usmarkać, tylko tak, byle jak. Chłopak zawstydzony, miał już pięć lat. Uśmiechnął się zażenowany, palcami prawej ręki przyciągnął koniec rękawa i przejechał nim pod nosem. Określił się na pięcie i wybiegł ze sklepu do sieni. Lacheta odprowadził go wzrokiem do drzwi. Z oszklonej gablotki wyjął dwa monopolowe papierosy, rozdzielił w palcach ich końce i jednym z nich wycelował w brode Kamińskiego.

Proszę, niech Kamiński zapali „Cowboy’a”.

— Wy cierpiecie biedę i ja przy was, powiedział znowu, wracając do poprzedniego tematu Lacheta. Wypuścił smugę dymu papierosowego pomiędzy stojących przy ladzie robotników i patrzył nieruchomo za nim. Towar na półkach mi topnieje, a nowego nie ma za co sprowadzić. Nie wiem, jak to będzie dalej.

— Musicie jeszcze trochę poczekać. Niedługo będą ludzie znowu dostawać dziadowinę, to wam znowu trochę oddadzą.

Lacheta zwrócił teraz oczy na mówiącego Curyła i zaraz odwrócił się z niechęcią.

— Dziadowina, mruknął z niechęcią. Czekaj tatka laska. Wy tylko za te dziadowinę pracujecie. A co to, za robotę wam się nie należy? Machnął niedbale ręką, gestem tym dając do zrozumienia, że w jego po-

jęciu sprawa jest tak oczywista, że nie warto o niej mówić. Sklep się opróżniał. Kamiński również wyszedł. W domu czekała Józia, która wcześniej poszła do pracy.

Gospodynia ona teraz razem z matką Janek i jakoś się zgadzały. Józia niechętnie odchodziła z domu rodzinnego do męża. Wstyd jej trochę było ze względu na dziecko z panieństwa. Stara Kamińska odniosła się jednak do niej z serdeczną życzliwością i dziecko jej wkrótce polubiła jak prawowitego wnuka. Opiekowała się nim, aby Józia mogła nadal chodzić do pracy.

W mieszkaniu zastał Kamiński gościa. Oczekiwał go już Leon Radlik. Na jego widok podniósł się z krzesła i podszedł do Janek z otwartą prawicą. Na ustach widać było uśmiech życzliwy, a zarazem taki, który oznaczał uznanie dla człowieka cennego i szczerzy, braterski szacunek. Nie widzieli się dość dawno.

— Witam, żęście się towarzyszu ożenił. Wiesz, że mam z tego serce. Czasu mamy trudne, ale przecież życie nie może stać na miejscu. Komu się pora żenić, ten powinien brać żonę. Jakoś się musi dać radę.

Radlik mówił ściskając dłoń Kamińskiego, równocześnie zwrócił lekko twarz ku Józii i uśmiechnął się do niej przyjaźnie. Usiedli. Przy herbatce poszła rozmowa na temat aktualnej sytuacji w Pogórze i gdzie indziej. Radlik otworzył brązową tezkę i wyjął z niej plik gazet.

— Przywołam wam gazety z ostatnich dni. Rozdaje między ludzi. Takie pisma powinny chodzić z rąk do rąk. Nie mamy takich funduszy, abyśmy mogli pozwolić sobie na masowy, bezpłatny kolportaż naszej prasy. Te składki, które zbieramy są bardzo szczupłe. Mimo to, nie wszystkich stać, aby je płacić regularnie. Macie tu również ulotki. Z ulotkami trzeba uważać, bo granatowi weszła jak psy. Trzeba je dawać w ręce ludzi bardziej świadomych i oddanych dla sprawy. Tacy przeczytają i treść będą umieli z pamięci propagować między mniej zaawansowanymi. Znał stosu pism

Józef Andrzej Frasiak

Święto

Dzieją się nowe dzieje, traktor zachrząścił w polach pulchne siki pachną, a traktorzysta, przodownik — orząc jest pieszczą czasu. Grzaskie drogi nawiedził asfalt, bruk dudni i tu nocą zelektryfikowana wieś płonie zorzą.

Szzm maszyn budzi rankiem ptasie gniazda, motor zadymił drogę, znikł; — auto mleczarni, gdy odjeżdża do miasta, jest jak zwolowanie wilg.

Głośniki radiowe grają u okien, świetlice napełnia gwar, muzyka. Poszerza się świat, otwierają horyzonty szerokie, książka wędruje w pądzalsze zakątki kraju, w spółdzielniach zakwita tekstylny blawat a wieśniaczka — dziewczyna — chustką powiewa, śpiewa i to jest pieśń o maju: naszych dni sława.

Dzieją się nowe dzieje. Buduje się nowa wieś. A nad nami sztandary: biało-czerwone, czerwone — i zielone sztandary górą trzepocą.

Wczasy

Lasy, które ściela cię u zboczy żywiczne są i zdrowe jodłowe i sosnowe a strumień, wiozący szum, ma siwe oczy.

Tam, gdy niosą nas letnie wczasy wola brzoza smukłonoja i górska ścieżyna — droga w żywiczną niesie dal, w zielone lasy.

Tam w rześkim wiewie poranka gdy słońce przelewa się przez igliwie na ścietym pniu omszonym, jak przy piwie się — i pić powietrze z gór jak z dzbanka.

Tam obłok żeglujący, gdy górą przepływa, zagładnie — tam kołysze się jastrząb bury poranna mgła nad łąką, jak chmury wisi modra i siwa.

Tam rąca sarna przystanie na chwilę pijąc u potoku wodę Tam świt — jak dziewczę urodne jest i młode, tam tęcza wachluje skrzydło motyla.

Tam owce beczące, gdy z upłazu schodzą — cienko dzwonią i długo tam kamienie toczą się strugą tam siwy dym u szafasów.

Zwyczajne, zdrowe, rześwe lasy! Do was po radość po zdrowie jadą na wczasy górnicy, jadę z fabryk robotnicy i z całej Polski ludzie pracy.

podniosła się twarz Radlika okrągła i pełna, poznaczona około policzków łukowymi zmarszczkami. Nad stołem przebiegło pytanie. — Co tu u was nowego słychać? Jak się tu w ogóle przedstawiają sprawy z ostatnich dni?

— Nic się tu podczas waszej nieobecności, towarzyszu, nie zmieniło, odpowiedział Kamiński z namysłem. Wiecej, jak to u nas w Pogórze jest. Potrzeba jeszcze bardzo dużo pracy włożyć, zanim uświadomienie przesiąknie głębiej. Przed strajkiem wszyscy się porwali. Zdawało by się, że wszyscy są oddani ciałem i duszą. To był pierwszy porów, nietrwały. W strajku się pokazało, że ludzie nie rozumieją jeszcze wielu rzeczy. I tak jedni nie doceniali organizacji partyjnej, a drudzy za wiele od niej wymagali. Myśleli, że partia z góry, sama, bez poparcia solidarnego wszystkich potrafi zmusić fabrykanta do ustępstwa. Ci ostatni bardzo się upewnili po upadku strajku i poczęli lokcewazyt organizację. To wam jest wszystko znane, towarzyszu. Oczywiście pojedynczo coraz więcej przybywa takich, którzy zaczynają naleyście rozumieć nasze sprawy. Szczególnie można liczyć na bezrolnych robotników i przybyłych z innych stron. Teraz każdy stara się, aby tylko wyrobić dni na zasilę, a inne sprawy usuwa na bok.

Radlik słuchał cały czas spokojnie, przytakiwał, pochylał potwierdzając gestem twarz szeroką i mądre zamysłoną. Ze sposobu reagowania, z całej jego gestykulacji można było łatwo wyzyskać, że sytuacja opisana przez Kamińskiego nie jest dla niego niespodzianką. Ostał się na bok filiżankę po wypitej herbatce i zaczął mówić. Przy pierwszych słowach począł wodzić palcem wskazującym po stole, jak gdyby pragnął podkreślić ich sens.

— Macie rację towarzyszu, troska o uzyskanie prawa do zasiłku prawie w całej pochlania ludzi. Oczywiście, to jest dla nich obecnie najważniejszy problem. Sprawa zabezpieczenia jakiejś takiej egzystencji na okres kilku miesięcy, to jest rzecz, której w obecnych warunkach robotnik nie może lekceważyć. Pod względem organizacyjnym i politycznym panuje tu z tego powodu niejako martwy sezon. Oczywiście fabrykant na tym korzysta i nadal nie płaci. Stwarza nowe zaległości. Czy nie tak?

— Tak jest — potwierdził Kamiński. — Teraz nawet nie wspomni o wypłacie. — Podobna sytuacja jest teraz i u Wolfa w Wolnicy, tylko, że tam zaległości są mniejsze, ciągnął znowu dalej Radlik. — Musimy wykorzystać nadchodzącą zimę. Czasu będzie dużo. Na wieczornych pogadankach trzeba starać się, głośno czytać pisma i broszury, aby ludzie mieli czas wspólnie, pomalutką przemysleć i przedyskutować. Musimy przede wszystkim poszerzyć horyzonty poglądów i pojęciowe w dziedzinie społeczno politycznej. Na tej podstawie będziemy dopiero mogli oprzeć skuteczną akcję.

Robotnicy aktywniejsi, lepiej wyrobieni, powinni na każdym kroku przekonywać malarolnych i zachęcać ich do większej aktywności. Chłop malarolny jest takim samym robotnikiem jak i bezrolny. To, że ma trochę własnych ziemniaków, nie powinno go w niczym różnić od jego brata, zupełnego wyrobniaka, obaj przecież pracują ciężko i polykają jednako wapno w kamerach fabrycznych. Często nocą wychodzą razem z workami na dworskie pole, aby powiększyć zapas ziemniaków. Bieda zmusza ich nierzaz do kradzieży, a z drugiej strony do ucieczki. Ale równocześnie ta sama bieda buduje w nich myśl po myśli, doświadczenie po doświadczeniu, coraz mocniejsze przekonanie o potrzebie walki i zmiany porządku społecznego. To przekonanie jest na razie instynktowne i ograniczone zbyt osobistym pojęciem. Aby je przeobrazić w rewolucyjną siłę, należy świadomie organizować, łączyć z przekonaniami innych i podbudowywać naukowo — społecznym uświadomieniem.

— Chłop mało, a nawet średniololny, który dzisiaj jeszcze nie pracuje w fabryce, powinien siebie uważać za jutrzejszego robotnika. Nie on, to jego syn będzie robotnikiem. Ziemi dla wszystkich nie starczy. Przy takich pojęciach aktywny robotnik znajdzie zrozumienie i powaszechniejsze poparcie w dalszej, coraz bardziej celowej walce. Te sprawy są ważne szczególnie tu, w Pogórze, gdzie większość robotników stanowią mało i średniololni chłopi. Te szczerpe działki chudej ziemi, które oni orzą, nie powinny stanowić hamulca w walce o robotnicze prawa.

Niestety, dotychczas tak było, odczuwał się po dłuższej chwili Kamiński. Gdyby nie te szczerpe zagony, które uprawia większość fabrycznych robotników, ich rewolucyjne nastroje dojrzewałyby szybciej. Nie powtórzyłby się tak długo oszukiwać. Pytler robił z nimi, co chciał. Wiedzieli, że jest źle, narzekali każdy, ale w ich sprzeciwie nie było tej siły buntu, jaka przysposabia ludzi do walki. Kamiński przyswajał sobie już terminologię i sposób wyrażania się właściwy ludziom wykształconym w społecznej problematyce socjalistycznej. Widać było, że nauka nie szła w las. Radlik popatrzył na niego z uznaniem.

— Tesknoty chłopca często odrywa ją go od spraw i zagadnień robotniczych. Niejednemu się zdaje, że wart jest lepszej doli. Swoją pracę w fabryce uważa za przejściową konieczność i chociaż nie ma realnych widoków na osiągnięcie tego, ludzi się nierzaz, że mu się los odmieni. Że powiększy gospodarstwo i wtedy nie będzie potrzebował i wtedy może powiedzieć i powtarzać to jeszcze raz, że ważne jest, aby u chłopca biednego wytepić te kulackie mrzonki. On musi wiedzieć, że nie ma się co ludzi nadzieję na ich urzeczewienie. Musi się czuć robotnikiem jak każdy inny i rozumieć, że nie wolno mu zasypiać własnych spraw i być ślepym na własny, robotniczy interes. Półki tego chłopci — robotnicy nie rozumieją, będą biec. Fabrykant będzie żerował na ich nieświadomości.

Radlik mówił dobitnie, coraz bardziej podnieconym tonem. Tak mówił ludzi przekonani o słuszności swoich poglądów, uważający je za sprawy proste, dla każdego zrozumiałe. Uczynił pauzę, uspokoił się nieco, odczekał i po chwili mówił dalej ciszej i wolniej.

Na podobnych tesknotach opiera się zresztą istnienie kapitalistycznego świata. To wielkie społeczne oszustwo utrzymuje się tylko siłą egoistycznych tesknot społecznych. Kapitalistyczna filozofia wychowawcza ukazuje oczom głodnych stworzeń ich kosztowny dosyć garstk uprzywilejowanych w społeczeństwie i mówi, że to jest cel, możliwy do osiągnięcia dla każdego, że każdy ma możność zzbogacić się, jeżeli tylko docięży staraj. Dzięki tej kłamiwej filozofii wielu ambitnych i zdolnych ludzi z pokrzywdzonych klas społecznych zamiast się poświęcić walce o prawa i poprawę bytu zbiorowego, marnuje swoje siły w bezcelowym uganianiu się za osobistym majątkiem, którego w większości nigdy nie zdobędzie.

— Tak, towarzyszu, prosty człowiek, robotnik, chłop, powinien wiedzieć, że jego interes nie jest osobisty, jednostkowy, ale społeczny, związany z interesami tysięcy i milionów innych prostych ludzi, powiedział na zakończenie dyskusji do Kamińskiego Radlik. Miliony nie mogą być kapitalistami.

Jankowi, gdy myślał o tych sprawach, wydawało się również nierzaz, że te wielkie zagadnienia, o których mądrze mówił Radlik, przynależą do „skromnych” warunków, do tej miszeryjnej sytuacji, stającej się w Pogórze trącą swoje znaczenie. Patrzając na przeciętnego chłopca, ubranego nędznie, chudego, o czarnej pocerniałej od fabrycznego dymu i niedomętej z wapna, jak-że można go było postrządać o jakieś kulackie tesknoty! Wyglądałoby to na niesmaczną ironię. Przecież prawie każdy złoźczył tutaj temu swojemu marnemu zagonowi, na którym zamiast plonu nalezytego, często tylko perz się zieleni, kwitły bławatki i czerwone maki. To prawda, że chłop złoźczył niewdzięcznemu zagonowi, ale równocześnie chętnie by go pomnożył. Gdyby mógł w fabryce tyle zarobić, dokupiłby ziemi, aby się na niej usamodzielnić. Mimo że sam był nędzarzem, patrzył często na bezrolnego robotnika z jakimś głupim pocuciem wyższości, pocuciem posiadacza. To pocucie usypiało jego czujność na jego własne interesy robotnicze.

Janek Kamiński zdawał sobie z tego sprawę, wrastając coraz głębiej w życie wsi. Widział, jaką bojącością wyróżniała się postawa tych chłopów, którzy już szukali pracy w miastach lub innych krajach w porównaniu z tymi, którzy siedzieli ciągle na miejscu. Chłopski syn, który powrócił nawet z sezonowych robót w „Prusach” mówił o sobie, że jest robotnikiem i czuł się nim.

Bronisław Chęciński

*) Fragment powieści pt. „Czerwienią się maki”, wyróżnionej na konkursie Zarządu Głównego Zw. Literatów Polskich z okazji zjednoczenia Partii Robotniczych.

W poprzednim numerze:

„Wieś” z dnia 9.VII.1950 r. Hieronim Michalski — V Zjazd Pi-sarzy. Aleksy Surkow — wiersz. Aleksy Surkow — Madra książka — mądry doradca chłopca. Jorge Amado — O współczesnej literaturze brazylijskiej. Bodo Ushé — „Po której stronie jesteśmy”? Jerzy Grygolonas — Ballada o siedmiu, którzy są miliardem. Zbigniew Chyliński — Lenin o chałupnictwie. Mieczysław Koszciukiewicz — Drogi rozwoju przemysłu ludowego. Andrzej Kijowski — Pozory realizmu. Jerzy Maciejewski — Utkazki Sokolskiej. Janina Leskiewiczowa — Inteligencja warszawska przed 80 laty. Mikołaj Gribaczow — Wiersze z Bułgarii. Józef Odra Michalski — Pierwsza rada. Edmund Nizurski — O powieści jeszcze nie wydanej. Marian Galewski — Gospodarka planowa w Polsce. Piotr Pigwa — Nowe życie wsi. Ryszard Hladko — Powieść o czeskim teatrze. Stanisław Medelski — Pierwsze spotkanie z fa-szysmem. Fakty i zdania. Listy ze wsi. 21 ilustracji. 8 stron.

WŁADYSŁAW KOWALSKI

P O D J A Z D Y

(Fragment z powieści „Wino“)

— Hej, Radecki! Wicie co o nim? — spytał Nabelak.

— Za późno przyjechał, wiatr, ciemno, nie rozgadaliśmy się — odpowiedział Radecki, wskoczył na wóz, zawrócił kołmi i pojechał.

Nabelak wrzepił oczy w cień Wiewióra i rzekł, akcentując kpin-kowato.

— A wy, dziadku, proroka udajcie, wyprorokujcie, co za jeden ten nauczyciel.

— Phil! — syknął Wiewiór. — Mam prorokować, kiedy wiem wszystko.

Gdyby w tej chwili mógł być Wiewiór dostrzec twarz Nabelaka, zobaczyłby, że polczki jego spleściły się, a oczy powiększyły się dwukrotnie z podw. —

— Wtem wszystko — powtórzył Wiewiór. Jakby się śmiał, głos jego poświływał chropowato. — Machorkę, Nabelaku, macie? — spytał.

— Na takim wietrze będziecie palić? — zdziwił się Nabelak.

— Okes me diabli nie wezmą, tak się chce palić — rzekł Wiewiór.

— Ha, ha, ha — zarżał rubasznie Nabelak. — Też wam się chciało tu iść w taką wietrzną i ciemną noc.

— Z Błotnicy idę — rzekł Wiewiór.

— Z Błotnicy? — głos Nabelaka zdradzał najwyższe zdziwienie.

— I tam się dowiedziałście?

— Tam. Ale skróćcie z tego pal-pierosa.

Nabelak podszedł na wprost okna, stanął we mgle światła. Jego przysadzista postać odznaczała się dość wyraźnie. Wiewiór dostrzegł nawet wąską i połyskliwą daszek maciejówki. Nabelak zwinął papierosa i wetknął go w zimne, drżące ręce Wiewióra, który natychmiast kucnął i próbował go zapalić zastanawiając kapoczną ogień zapalki od wiatru. W pierwszym blisku ognia Nabelak dostrzegł pasemko wąsinów starego, jakby rys kredą pod nosem.

— Ostrożnie palcie, bo opalicie wąsin, a i tak macie rzadkie, jak kot — zapalił Nabelak.

— Nic nie szkodzi — mruknął Wiewiór. — I tak trzeba będzie zgolić, bo teraz żmna doła nastąpi, podobno z wąsinami do nieba nie wpuszczają. A ja się tam już przecie rychło wybiorę. Wąpinie, czy dołki dociągnę.

Nowy blysk zapalki zdradził żółtą, drobną twarz Wiewióra i suche rozróżnione dionie.

— Sienie zmarliście, to sami nie zapalicie — rzekł Nabelak. Kucnął, wzięł z rąk Wiewióra zapalki: sam mu przypalił. Wasy zarzeczowały, jakby kto chrust na depnął. — No, mówcie przedzej, do-nagił Nabelak powstając.

— Nazywa się Adam Jasiukiewicz — objaśniał Wiewiór. — Niemłody już, a kawaler. Jego brat to podobno mądrala. Wiersze pisuje. Wywodzą się z panów.

— Jak to z panów? — zdziwił się Nabelak.

— Ze szlachty podobno się wywodzą — mówił Wiewiór. — Jego ojciec był nauczycielem w Gagat-kowie. Już nie żyje, ani matka.

— Skąd wiecie? — spytał Nabelak.

— Ba, skąd! Pisarz wie o tym — odpowiedział Wiewiór. — Też przecie z Gagatkowa pochodzi. Ale co ten nauczyciel teraz sobą przdstawia, nie wie, bo dwadzieścia lat o nim nie słyszał. — Szał już tak krótki niedopałek, że wasy przypalały się przy każdym pocągnięciu dymu. Wreszcie zapalił głośno ogień.

— Chodźcie — rzekł Nabelak — przyjrzymy mu się. Podeszli ku oknu, gdzie wzajemnie widzieli się lepiej. Kryjąc się za linią światła podglądali nauczyciela, który stał na izbie zwrócony tyłem do okna. Gdzieś w pobliżu okna wisząca lampa rzucała blask światła na jego wysoką postać, stalowe paski na ciemnym tle ubrania odznaczały się wyraźnie. W izbie prócz łóżka, stołu, dwóch krzeseł i piecyka leżały na łóżku świeżo przywiezione walizy.

— Zgrabny człowiek — pochwalił Wiewiór. — Widać medytuje, co zrobić. Może nie umie sobie łóżka pościć?

Nauczyciel wstał, stał zwrócony tyłem do okna i patrzył na żelazne łóżko z wypchanym mocno słomą grzebnym siennikiem. Gdy się nagle odwrócił twarzą do okna, wtedy Wiewiór i Nabelak spostrzegli ciemny polczek i wycięte na kształt rogu ucho. Te felery bez wszelkiej wątpliwości wyjaśniały starokawalerstwo nauczyciela.

— Fiu! — syknął cichutko Wiewiór do ucha Nabelakowi. — Tak, nie dziwno, że przygizął na wieś. Chory, czy co? Wymokły w oczach. Patrzcie teraz na prawe ucho. Do diabła z taką urodą. Jeszcze w dodatku wasy goli. — Nabelak spojrział na Wiewióra i zaklął w myśl, gdyż stary drzał tak z zimna, że aż podskakiwał, a mimo to nie stracił nic ze swego rezerwonstwa.

— Umyślnie chodziliście do gminy? — spytał Nabelak, chociaż nie miał co do tego wątpliwości.

— Niech te zime rajlon diabłów porwie! — szepnął Wiewiór, domyślając się ironii Nabelaka. — Co mam robić w domu?

— Przecież nie wiecie! — rzekł Nabelak. — Zauważył Nabelak.

— Ale się dowiedział, jakim poszedł — rzekł stary chichocząc cicho. Nagle, nie mówiąc, ruszył zwawo i wszedł do sieni. Nabelak podążył za nim.

Nauczyciel spacerował po izbie, nieznacznie podszedł blisko, a słysząc w sieni tupanie, gdyż obydwa otóżasali buciska z błota, otworzył je.

— A proszę bardzo... — rzekł Jasiukiewicz i cofnął się na środek izby. — No, no, pan taki staruszek a interesuje się szkołą — mówił wyciągając dłoń do Wiewióra.

*

Mimo zasłon na oknach, w izbie było dość widno i jasno, lecz wygodnie na łóżku, rozmyślał nad swoją nową sytuacją, gdy nagle ten tok myśli przerwał trzask walącego się drzewa, więc podeszwał się na równe nogi.

— Obyrzynie konary zwałonego na drogę drzewa, akurat po środku parku, przesłaniały widok na to, co się tam działo. Ale spojrzawszy nieco w kierunku południowym, domyślił się wszystkiego.

— Aha! — zawołał. — Jednego obszarnika diabli wzięli. Ale po co rąbać te drzewa w parku?

Dopiero teraz dostrzegł biały obrus na stole i cztery jajka na talerzu, na piecyku emalowany niebieski garnek, a na jego pokrywie biały dzbanuszek z mlekiem.

To było coś nadzwyczajnego. Ty-le troskliwość.

— Była! — rzekł do siebie. — No niech to kto powie! Przyszła cichutko, jak myszka i... Obydwie ręce przerzuciła na tył głowy, zaszkoczoną nową myślą, że przecie, gdy się obudził w tak ciętym pokoju, od razu powinien był zrozumieć. Skądże wzięłyby się tyle ciepła. Węć była tu, była!

Nie, czegoś podobnego nie oczekiwali. I miednica do mycia kół-towa i woda w wiadrze na ławie koło drzwi.

— Ziewna! Zie mu się spało.

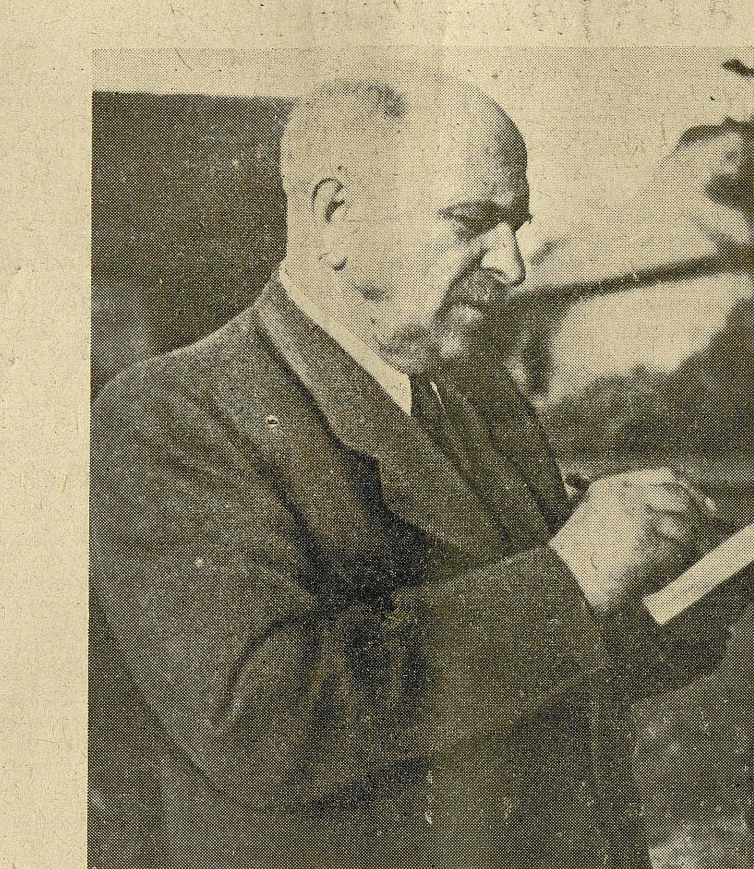
— Czula dziewczyna, nie ma co! — powiedział sobie głośno. Nie mógł powstrzymać się od myśli, że i pognęta. Czy ma jak malowane. Ba, cała postać zgrabna.

Tak jakoś trochę ociepleł się poczuł. Ciężko snuty mu się w głowie dawne wspomnienia od dzieciństwa aż do wyładowania w Mianowie, z własnej woli. Z ideal i lekceważenia własnych potrzeb.

— Długa droga — westchnął. Zamiał do śniadania zabrał się do gotowania. Starał się, golił, zyletka przed małym lusterkiem, oparł-tym o talerze z jajkami.

— Śmieszne! Cztery jajka na śniadanie — myślał, zabierając się po umyciu do śniadania. Dobrze wyobrażenie o żoładku inteligenta mają wdzięcznie chłopcy.

Zjadł trzy jajka. Byłby jednak zjadł i czwarte, gdyby znów nie wydało mu się to śmieszne. Chłop mógłby powiedzieć: „Co to taki jeden strawi“ i posić mu na kolację ze sześć jaj. Gdyby był użył normalną ilość chleba, wystarczyłoby napewno tylko dwa jajka. Ale jajka były ugotowane na twardo, zjadł je prawie bez chleba, i tak samo bez chleba wypłd dwie szklanki mleka. Wstał od stołu, narucił na ramiona marenego je-sionkę, włożył kapelusz i wyszedł obejrzyć klasę szkolną. Była nią sąsiednia izba, z wejściem z tej samej sieni. Wszedł, stanął po środku i rozglądał się. Obszerna i czysto wybielona była ta izba, lecz niska; belki wisiały mu tuż nad głową. Pietnaście starych lawek o niejednolitej barwie. Czarna tablica stała na trzech wysoko-kich nogach koło drzwi, opodal ta-



Władysław Kowalski.

bliwy piecyk z rurą, jak u niego w pokoju. Dwa okna jedno na północ, drugie na zachód. Pod zachodnim oknem „katedra“, trochę przywysoka skrzynia, na niej stół.

— Utogo, ale jakoś tam jest — mruknął Jasiukiewicz i spojrział w okno. Chałupa Nabelaka ogrodzona sztachetkami, jak z pod kozackiej papachy zerkala z pod strzechy dwoma ściepami okien. Ten sam starzec, którego poznał wczoraj, czapał wolnoitno ścieżką przez ogródek od chałupy Nabelaka. Szedł lewym bokiem. Pochy-lony mocno ku ziemi nie miał twarzy tylko wyleciała barankowa czapka. Dionie zasnął w rekawy burej kapociny i tak splecione ręce przyciskał na brzuchu, jakby cierpiał bólesci. Stopy okute w rzudziałe buciny śięły zwawo po ziemi, lecz posuwał się zółwim kro-kiem. Wyminał wreszcie sztachet-ki, stanął na drodze, może z piętnaście kroków od szkoły i niezdecydowanie spoglądał to na wschód, to na zachód. Odrastające na jego brodzie sztachetki połyskiwały jak drobnusia rosa.

— Dożył tego wieku, że już mu wszystko jedno w którą stronę byle się zdecydować i pójść — pomyślał nauczyciel i nie zamykając drzwi, wyszedł na świat. Wiewiór uchylił czapy na powitanie i roześmiał się chrapliwie.

— E... he... he... jakże się panu spało?

— Dziękuję odpowiedział nauczyciel. W tej chwili znów rozległ się trzask walącego się gdzieś w środku parku drzewa.

— Tną te drzewa. Może pan chce zobaczyć? — rzekł Wiewiór.

— Chętnie — zgodził się Jasiukiewicz i poszedł ku drodze. Sci-skając suchą dłoń starca, doznał wrażeń, jakby dotknął wężki zimnych patyków. — Z czego się śmiejecie? — spytał, gdy Wiewiór szczyrzył bezbronna jamę ust.

— A śmiać mi się chce, bo nasz Pietrucha... — przyciął język i nie dokończył.

— Co za Pietrucha? — spytał nauczyciel.

— Tak się nazywa nasz pro-bosc. Nazywa się Pietruszynski, ale ludzie mówią Pietrucha — od-

powiedział Wiewiór. Umyślił podobno w adwencie nie dawać roz-grzeszenia nikomu, kto nie jest wierny panom.

— Czyj to był dwór? — spytał nauczyciel, zbywając milczeniem plotkowanie starca o księdzu.

— A to niejaki Mianowski, — Mianowski? — zamedyto-wał się nauczyciel. — Czy to nie dzisiejszy sanacyjny minister?

— To, to, to. — Ten samiusi, — zapisał Wiewiór.

— To jego ojca był ten fo-lwark? — spytał nauczyciel.

— Ojca, ojca! — podchwycił Wiewiór. — Ten Czesław nie zgadzał się z ojcem w polityce. Po-tem to przyjeżdżał do ojca jakiś czas, aż znów się widać pokłó-cili, dopiero na pogrzeb się zjawił.

— To ten stary zmarł?

— Ha... — podchrzcił głową starzec i rzekł jakby ze zdziwie-niem. — Cóż nie miał umrzeć. Raz go wojna z długów wywabiała, to znów w długi się zakopał. Tak się na syna zawzięł i chciał go wi-docznie zwałować w tej polityce, nie wiedział, że on się sam na-wrócił. To brał ten stary pieni-dże od rządu i gdzie się dało, a na politykę łożył. No i widać hulał, bo żona mu wczesłał umar-ła. Pan jest może też szlachcie?

— Udał, że o tym nie wie. — Może się pan obrazi, ale powiem panu, że ta szlachta to gałganski naród. Jak oni tak mogą rządzić, że chłop co b'edniejszy ledwie żyje.

— Tym lepiej, że ten Mianowski zbankrutował — wtrącił żywo nauczyciel.

Lecz Wiewiór wyraził inne w tej sprawie zdanie.

— Komu, panie, lepiej, a komu gorzej — odpowiedział starzec — chichocząc, jakby się czegoś wsty-dził. — Kto, panie, łupił, to temu lepiej, a kto nie kupił, to za Mianowskiego ukradł gałęzi z boru i popasł na dworskim. Tego pa-nie, co nie kupił teraz dopiero bieda przyrzuca. A że wsi nie kupił nikt, wszystko obcy. Skąd ci lu-dzie wzięli pieniądze, to diabli ich wiedzą. Bór już wycięli — pochy-lił głowę, spojrzawszy swoimi mełny-mi i zgłębionymi oczami w twarz nauczyciela, a spotkawszy się z jakimś

zgrzytnięciem uśmiechem Jasiu-kiewicza, przybladł zdetonowany, nie mogąc się polapać w czym mógł przeholować.

— Dłoty powinny co do jednego zmarnieć! — podjął nagle Jasiukiewicz. — Ani jeden nie powinien ocaleć. Cała ta hańba przeszłości powinna zginąć! Rozpalili się tak do mowy, jakby był na wie-cu. Wzrok jego w tej chwili padł na kaskadę, która spod żelaz-go ogrodzenia siata srebrne sznury bi-sioru do głębokiego wąwozu, po-ruszonego olchą. Po pół minucie we-szli na drewniany mostek nad ma-łenką rzeczką. Wiewiór, wskazu-jąc ręką na stawik z rogu parku, rzekł:

— Tu utopił się Zdzisław.

— Ten właściciel?

— Nie, jego najmłodszy syn.

Miał, panie, małego bżika. Jak pan widzi, te wierzyby nad stawikiem mają długie przecie aż do wody. To niech pan sobie wyobrazi, coś mu do głowy przyszło, chwycił się tych precj wierzbowych, widać so-bie je czymś przygarniał z tam-tego brzegu na ten i, panie, hulał przez stawik. No i jakoś nie-szczęśliwie uwąził głowę w szla-mie, tylko nogi było widać na wierzchu. Ludzie widzieli, jak hulał, ale jak się topił, nikt nie wi-dział. Co ten stary, panie, nie miał umrzeć! Drugi, na imię mu było Zygmunt, jakąś kobietę zastrze-lił, a potem siebie... Widząc, że nauczyciel zapatrzył się na staw prawie zupełnie jak strzechą, okry-ty warokami wierzb, rzekł:

— Prawda, że to ładne? Jak rozbiora te żelazne sztachety i wy-kopią drzewa, to woda spłynie i nie będzie nic.

— Ta-ak! — mruknął nauczyciel, ruszając z miejsca. Szedł zwawo ku chłopom, którzy obciosywali siekierami konary drzewa zwałonego na drogę. Wiewiór dotrzymywał mu kroku, objaśniając:

— To kasztana tak czyszcza. Ta-ka była aleja wyjazdowa z tych kasztanów, że nawet za dnia było w niej jak o zmroku. Ale generał Nawroć wszystko to zmienia, na-wet ścieżki.

— Widzę, że jednak żal wam pa-na — rzekł z uśmiechem nauczyciel.

— E, diabła tam żal pana! — zaprzeczył stanowczo Wiewiór. — Ale jak co ładne, to jakże mó-wić, że brzydkie? Przecież i w tych olszynach nad rzeką poleżało się, a teraz jak wygoda do czysta, to ani cienia nie zostanie. Tylko coż poradzić! Przed podarował osódek temu generałowi Nawroćowi, a on przetrzedza park i stawia różne figurki, przeważnie nagich kobiet. Wdociennie nie lubi gestwiny, a mo-że myśli, że te figurki są ładniej-sze od drzewa. Moim zdaniem spa-skudzi tylko tymi figurkami park. Bo ja wolę drzewa.

Jasiukiewicz przystanął nagle w oddaleniu jakichś dwudziestu kroków od zwałonego kasztana i czując Wiewióra papierosem spytał:

— A gdzie jest wieś?

Wiewiór zakrzywił ręką wokół nieboskłonu i rzekł:

— Jak pan widzi.

— To taka wieś? — zdziwił się Jasiukiewicz.

— Taką, panie, — odparł z gry-masem starzec.

Pykając dym z papierosów, obydwa rozglądali się po obszernej równinie. Nie wiele ciekawego mogli zaobserwować.

— He, panie! — podchwycił ży-wo Wiewiór — tak nas wyszko-wał ten Czesław Mianowski, i tu niejaki Szymek Kometa. Teraz ten Szymek zmaradzał. Ale już późno. Jak go ten Czesław złapał... —

stary zakrzuszył się od śmiechu. — Też, panie, trzeba było trafić! Ujął go, tego Szymka, na kradzie-ży czeresni, spodobał mu się i tak go wywycizły, że on Szymek nam i sobie nabroili, bo nie rozumiał co robi. Tak go ten Mianowski ogłupił. No i rozwalił wieś po po-lach, że chłop chłopca teraz rzadko widać. Ludzie nie chcieli, ale ich zmusili przez tego Szymka, któ-ry tak się kochał w tym Mianow-skim, że aż oślepił.

Jasiukiewicz tylko jak przez sen słyszał słowa Wiewióra, mruzczał do siebie, zapatrzone w rozrucone po polach chałupki.

— Gdzież tu jest wieś? Gdzież tu są ludzie? Czyż można będzie tych ludzi wieczorami zbierać?

Wiewiór, jakby odczuł jego wątpliwości, rzekł:

— Baby się boją same pozostać w domu. W ciemną noc to aż strach wyjść przed chałupę.

— A wy gdzie mieszkacie? — spytał nauczyciel.

— A ja to tu, nie tak daleko. Widzi pan, tam tę chałupę przy drodze? — wskazał ręką na tulącą się przy ziemi budę oddalną o pęćset kroków. — To synowa chałupa, bo ja już nie gospodarzę.

— Śmieszne — mruknął nauczyciel, ruszając z miejsca. — Szkoda tych drzew — rzekł podchodząc do chłopów obciosujących kasztan z konarów.

— A tak, panie! Tylko coż zro-bić? Jak najbliżej, to się rabie — rzekł wysoki, a jak drażek cienki chłop.

Jasiukiewicz przeskoczył przez olbrzymi pień i wszedł do środka parku, gdzie akurat z ciężkim jak grmot łoskotem znów zwałilo się olbrzymie drzewo, wstrząsając ziemią.

— Jak on myśli, dziadku? — spytał ten sam drągowaty chłop Wiewióra, który umyślnie pozostał na miejscu.

— Jak go zapytam o Rosję, to dopiero się w nim polapie, — od-parł starzec. — Jeszcze nie było do tego okazji, a bez tego jakże wiedzieć, co myśli.

Pomacalem go o księdza, ale zmilczał — dodał po chwili. — Wszystko też rozumie, co się do niego mówi.

— Pewno i wy też nie wszystko rozumie, co on do was mó-wił — zażartował jeden z drwali.

Wiewiór wątpliwe podchrzcił ramionami.

— Bo ja wiem? Zdaje mi się, że wszystko pojął.

— Jemu też się tak zdaje — za-uwżył inny chłop.

— Może i to być! — pokręcił głową stary. Ja mu stawik, że ładny, a on mi na to, że ja pana żaluję. Nie czuje, w czym rzecz.

Ponieważ chłop nie miał jakos ochoty do rozmowy, wzięli się do odgrywania gałęzi. Wiewiór zos-tawił ich i poszedł za nauczycielem do parku.

Znów szedł lewym bokiem, jak przez ogródek Nabelaka. Kapoc-na podskakiwała na zrzuconych cholewskich buciskach. Słyszał, jak jeden z chłopów zapalił z niego półgłosem mówiąc: — Teraz sobie dziadga popali!

— A tobie z zadrześci ożór uschnie — szepnął do siebie Wiewiór i udając, że nie nie słyszał, czapał dalej. — A co? — zawołał do nauczyciela, który wracał już, szedł po szerokiej żwirowanej jezdni. — To, panie, była wyjazdowa brama — objaśniał stary. — Żeby pan tu był, jak jeszcze i an drugi rząd kasztanów stał... szedł-by pan sobie, jak pod dachem. Nawet w słoneczny dzień było mroczno, bo gałęzie ze sobą spłatały się.

Patrzyli w milczeniu na rząd równo przy jezdni stojących ol-brzymów, skubanych siekierami przez co najmniej dwudziestu chlo-pów.

— Za tydzień wysępna do żdźbła — rzekł Wiewiór, by nawia-zać rozmowę. — Wskazał na pa-lac, który teraz stał niezakończony.

— Tam się odbywały zmywy przeciwko wam — rzekł nauczyciel.

— O, ba! My dobrze o tym wie-my, że panowie zawsze na chłopca leca — podchwycił starzec.

Niech więc pan nie myśli, że tu komu w głowie postanie komu żal po nich. Ale co, panie, zrobić, że-by ich wszystkich wykończyć, tak jak w Rosji?

— Pomówimy o tym. — rzekł nauczyciel wpatrując się w zstnia-łą twarz starca. O Rosji nie mow-cie. Bolszewizm nam nie potrzeb-ny. Zażdźcie do mnie wieczorem, ale nie sami, przyprowadźcie z sobą kilku chłopów. Potom tu przy-jechał, aby was uczyć.

— Sienie się będą ludzie cie-szyć — rzekł obłudnie stary, wy-ciągając rękę po papierosa. Głos jego gdzieś w pewny i zdecy-dowany, w rozmowie z nauczycie-lem przybierał ton najwiece dzie-cięcy, a usta zawsze stroili się w lekki uśmiech.

Nauczyciel jeszcze raz zaprosił go do siebie. Iżej ścisłając jego dion, niż przy powitanu, gdyż te-raz zdawało mu się, że te kostki bez ciała mogłyby się rozkruszyć pod mocniejszym uściskiem. Cy nauczyciel odszedł, Wiewiór rzekł do chłopów:

— Już go pocągnęłam za język. Przysłał go tu, aby nas szpiegował i mamił. Mieja się na baczności.

Antonina Chmielewska

Mój życiorys

Urodziłam się w Trzeszczanach w powiecie Hrubieszowskim. Dziadko-wo mi byli pracownikami folwarcz-nymi, dworskimi. Rodzice moi posi-ałi domek i ogród półmorgowy, któ-ry mnie w spadku pozostawili. Dzia-dek i ojciec byli z zawodu stolarza-mi — stelmachami. Rodzice moi byli ludźmi biednymi, nędzarzami bez nauki. Miel sześcioro dzieci, z któ-rych ja jedna dożyłam starszych lat. Po śmierci rodziców dostalam po nich chatkę z ogrodem, gdzie mieszkam i pracuję jako robotnica wiejska od 28 lat. Życie moje ubiegłe — męczę-niskie. Kiedy żyli rodzice i siostra, pracowałam w Warszawie jako stu-żąca domowa przez lat dziesięć.

W tym służebnym stanie pracowałam 8 miesięcy w założonej gimnazjum. Ta kobieta bardzo drażliwa i egoist-ka nie pozwalała nigdy rozmawiać z ludźmi. A jeżeli ktoś mnie zapytał musiałam jej każde słowo powtarzać.

Zamykała mnie na klucz, odchod-żąc z domu, aby mnie kto od jej służby nie odebrał. Zamykała każdą swoją rzecz. Byłam u niej więzieniem domowym. Kiedy płakałam mówiła, że mi jest bardzo dobrze. Po ośmiu miesiącach wyrzekłam się tej służby i z pomocą znajomej odebrałam od niej swoje rzeczy.

Warszawa miasto — wielkie i peł-ne szkół; tam się trochę poduczyłam i skończyłam kurs freblowski.

Byłam long — nianią w różnych domach prywatnych w Warszawie.

Kiedy siostra moja umarła, a rodzi-ce rozpaczali nad jej zyciem, powo-licam z Warszawy na wieś, gdzie po dwóch latach umarł i rodzice.

Po ich śmierci sąsiadzi przemoca-i gwałtem zabrali mój ogród, który mi się z prawa należał. Podatam prośbę do Sądu, który w ciągu sze-ściu lat sprawy moje sądził i zakończył komornikiem. Pomimo, że Sąd umorzył wszelkie ich pretensje do mojego ogrodu, zawsze czuła do mnie nienawiść i gdzie tylko mogła to mi szkodła. Nie mogłam wyjść za mąż z powodu lichego zdrowia. Mam chatkę, ogród obsadziłam drzewami. Mam trochę owoców i jarzyn. Żyję z pracy rąk i głowy. Pracowałam u gospodarzy, którzy mi licho płacili — cztermi lata. U drugich — sześć lat prawie za darmo. U trzeciej go-spodni trzy lata za byle co. Jedze-nie liche i kilka złotych rocznie. Ży-ć nie chciałam, choć nie chciałam wy-dalać ze służby. Zdawało mi się, że w służbie trzeba jak najwięcej pracować, jak najmniej jeść i najmniej pienie-dzy pobierać. Tego żądały panie warszawskie i wiejskie egoizm boga-czy. Z pisma nauczyłam się cenić swoją pracę i bronić się od bogaczy i wyzyskiwaczy. Bogacze żądają dar-mowej pracy na wsi.

Nie nadaję się do ciężkiej pracy, żniwa i kopania kartofli.

sili, że pod karą śmierci nie wolno opowiadać o wojnie. Uciekniemy z za Buga przynosił wiadomości o co-faniu się wojsk niemieckich do Pol-ski. Polacy szepem opowiadali sobie te wiadomości i ginełi za to. Tak ósmego marca 1944 roku zamordo-wali siedmiu ludzi, a ósmu uciekli. Ludzie ze wsi uciekali do Lublina, Warszawy, aby dalej do Niemców. Ja pracowałam w czasie wojny w mleczarni i życie uwaratowałam. Po wojnie pracowałam u gospodarzy i nauczylieli we wsi.

Od roku 1946 pracuję jako pomo-cnica kościelnego u organisty. Mam pisma religijne i świe

WANDA ŻÓŁKIEWSKA

LITERATURA MŁODZIEŻOWA*)

Mimo wielu uwag, które tu zostały już przez koleżanki i kolegów przekazane audytorium, uważam że sprawa literatury dla dzieci i młodzieży nadal jeszcze wymaga poważniejszej refleksji, tym bardziej, że sprawa ta nie stanowi marginesu naszej zjazdowej dyskusji.

Jeśli weźmiemy pod uwagę że naczelna teza tej literatury jest wychowanie człowieka nowej epoki zdolnego do zrozumienia zadań tej epoki i podjęcia tych zadań, wspólnie z całym społeczeństwem, jeśli zastanowimy

z jęz. rosyjskiego uznać za najwocześniejszą i najbardziej celową. Zdarza się niedociągnięcia. Przekład Książki Kuprina „Biały pudel” i Gajdara „Dzieciństwo Tomka” — znać chyba trzeba za niedopatrzenia czynników wydawniczych. Obie pozycje cenne w dorobku twórczym autorów, stanowiące ogniwa w łańcuchu twórczości, wyrwane z całości bez poważniejszych wyjaśnień, bez znajomości historii kultury okresu, do którego należą, nie mogą polskiemu dziecku przekazać tych war-

literatury dla dzieci i młodzieży: wznowienia z literatury polskiego dwudziestolecia międzywojennego.

Literatura dwudziestolecia międzywojennego wywodziła swoje tradycje z kultury mieszczańskiej, opierając się na niej, nie jest niczym więcej jak literaturą burżuazyjną. Literatura ta przedstawia świat mieszczański, z mieszczańskimi bohaterami i mieszczańskimi ideałami wychowawczymi. Dobroć w ogóle, pielęgnowanie uczuć samych dla siebie, traktowanie spraw dzieci jako oderwanych od spraw ludzi dorosłych — izolowanie dziecka przed życiem, przy odbieraniu mu prawa do sądenia o wartościach życia — kieruje pisarza za nim jego czytelnika do bierności i cofania się w głąb samego siebie, by z własnego wnętrza czerpać treści. Z tych założeń płynie wychowawczy ideał tej literatury — mieszczański humanizm. Z tych założeń płynie również indywidualizm i psychologizm, które odbierają dziecku zdolność działania w grupie, radość pracy i tworzenia, energię na wysiłek, aby być abstrakcyjnie ludzkim, współczującym, do brym po jakichś długich procesach wglądania w głąb siebie i rozmyślań nad sobą.

Wpadła mi kiedyś w rękę książeczka dla dzieci w wieku lat od 8 — 10 — słachetna w tendencji, dość ładnie napisana. Autorka pragnie tu wpoić w swoich czytelników zamiłowanie do pracy. Daje przeto swoim bohaterom, dzieciom leśniczego, kawałek ziemi, na której im każe się samodzielnie zarządzać. Dzieci są autorem posłuszne. Zakładają ogródek, sadzą warzywa i kwiatki, budują nawet domek, do którego zapraszają na podwieczorek rodziców. Praca daje dzieciom przyjemne spędzenie wakacji, uczy je koleżeństwa. Zdawało by się, że wszystko w porządku i książeczka może spełnić pozytywne zadanie. Tak by się zdawało, ale tak nie jest, bo nikt z czytających nie wie, po co autorka każe dzieciom pracować, komu ma służyć praca dzieci. Praca sama w sobie? Bez celu społecznego, bez sensu społecznego bez pożytku? Po co się mamy ludzi? W ten sposób pojęta praca staje się zwykłą zabawą dzieci na wakacjach. Nie należy mylić pojęć. W ten sposób przedstawiony problem ujawnia mieszczański ideał odizolowania dziecka od istotnego przebiegu wydarzeń w jego kraju, stwarza mu fikcję, w której nasz milusiński nie miałby możliwości zetknięcia się ze złem współczesnego mu życia, w której człowiek nie ma nic do gadania, bo decyduje za niego o wszystkim jakiś nieznany rząd któremu mieszczaństwo biernie się podporządkowuje. Tej bierności właśnie autorka daje maskę słachetnego działania.

Takich pozycji literatura polska posiada wiele. I takich pozycji wiele znówiono. Jedne z nich są, jak ta, o której wyżej wspominałam, szlachetne w tendencji tylko zupełnie nieporadne ideologicznie, błędne i

bezużyteczne wskutek tego. Współczesnemu dziecku nie przydadzą się do niczego. Gorzej jednak, gdy autor świadomie kreuje wstępną ideologię, a i to się zdarza. Zdarza się przecież niejednokrotnie, że wznowiona książka budzi w nas grozę. Do takich należy np. „Szkoła naręczonych” Marii Krüger, nawiazująca bezkarnie do czasów niewolnictwa dziewcząt i gloryfikująca idee i stosunki, nad którymi wiele lat temu ubolewali postępowi pisarze (Orzeszkowa — „Marta”).

Wśród wznowionych pozycji literackich dwudziestolecia międzywojennego niepoślednie miejsce zajmują książki dla dzieci i młodzieży o charakterze rozrywkowym. Wiele z nich ma się każdego środka, dla podniesienia waloru rozrywkowości.

Celowi temu służy niejednokrotnie egzotyka odrealniona, zupełnie już nieprawdziwa, egzotyka niestwierdzonych krajów czasów i ludzi, celowi temu służą również poszukiwanie nadzwyczajności, gonitwa za paradoksem, nonsensem. Literaturę tę znakomicie reprezentuje historia o Koziołku Matołku i wszystkie po niej dziesiąte wody, zwracające w głośnie wcale nawet poważnym pisarzem. W ślad za tego typu pisarstwem podąża literatura oparta w polowie na rysunku w polowie na czte rowierszach tekstu rymowanego, pojawiająca się raz wraz w pismach codziennych.

Literatura ta jako główne zadanie stawia sobie niefrasobliwie zabawienie swego czytelnika. Źródła jej tkwią w idei ucieczki do rzeczywistości tak gorliwie wyznawanej przez pisarzy dwudziestolecia międzywojennego. Pod względem środków wyrazu jest często rasowym przykładem formalizmu.

Byłoby jednak niesprawiedliwością i zafałszowaniem obrazu faktycznego, gdyby nie wymienić we wznowieniach literatury dwudziestolecia międzywojennego pozycji cennych pod względem artystycznym i pedagogicznym. Reprezentują je nazwiska Tuwima, Broniewskiego, Porazińskiej, Krzemienieckiej, Broniewskiej, Bobińskiej, Januszewskiej, Morkowicz — Olczakowej. Literatura ta wskazuje nieobfity i jakkolwiek powstała w najlepszych intencjach, to przecież nie rozwija tego wszystkiego, co autorzy mogliby i chcieliby dać.

Nieobfity również jest plan literacki powojenny, zapoczątkowujący nową współczesną literaturę dla dzieci i młodzieży. Powojenna twórczość Krzemienieckiej, Grodzkiej, Koszulskiej, Wasilewskiej, Neverlygo, Bobińskiej, Broniewskiej, Brzechwy, Miłkiewicz i Markowskiej daje próby przezwyciężenia tradycji mieszczańskich i wprowadzenia treści bliższych ideom nowego budującego się ustroju. Zadanie trudne i niewygodne dotąd jeszcze całkowicie. Różne tu ambicje, różne osiągnięcia, różny stopień przezwyciężenia trudności. Na czoło wysuwają się nazwiska Wasilewskiej, Neverlygo i Broniewskiej.

Pisarzom tym pomaga w ich dziele uświadomienie polityczne i szczerza pasja piewów nowej epoki.

Brakom w literaturze dla dzieci i młodzieży zaradzić usiłują redakcje piśm. Zainicjowana na wiosnę przez Prezydium Rady Ministrów dyskusja nad poziomem pism dla dzieci i młodzieży odsłoniła poważne niedociągnięcia. Pisma te bowiem nie mając odpowiedniej ilości dobrych piór, dają przeważnie materiał czytankowy, nie zaś prawdziwie literacki i stają się w ten sposób czynnym w rodzaju podpora w nauce, na poziomie szkoły podstawowej. Nowe treści współczesnego życia trudne do przedstawienia, bo rewolucyjne, bo nieoparte na żadnych tradycjach znanych, ujawniają tu niejednokrotnie nieporadność pisarzy lub brak zrozumienia dla wagi poruszonych zagadnień. Nuda, doktrynizm i zrytualizowanie wyskakiwałe, pełne na wielu numerach piśm dla dzieci i młodzieży.

Kiedy mówimy dziś o literaturze nowej, tej którą dopiero mamy stworzyć, a która ma skutecznie zadziałać na nowe pokolenie, musimy mieć kilka jej cech. Jakież to cechy?

Piszemy dla dzieci i młodzieży, która wstąpiła w nowy twórczy się ustrój socjalistyczny, stąd jasno wynika:

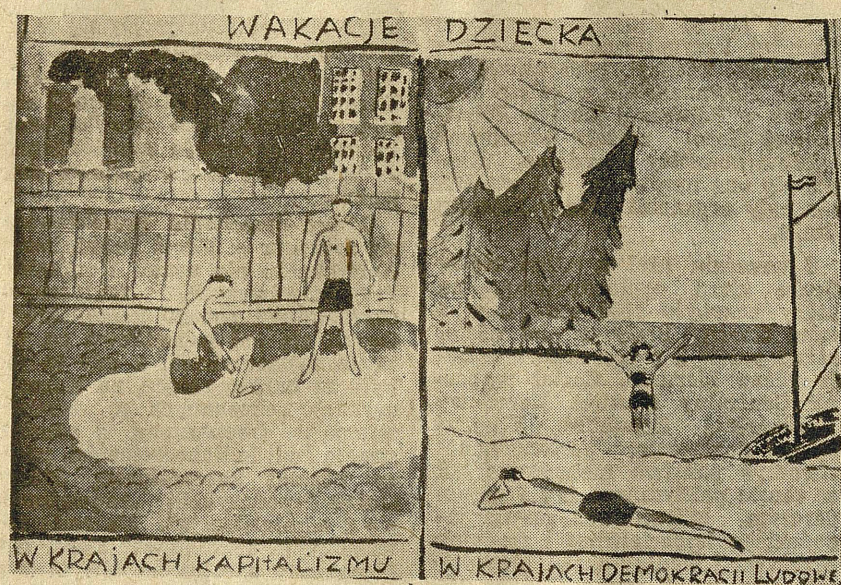
1) Nietylko obraz otaczającego świata, ale i historia i wizja przyszłości podawane dziecku muszą być zbudowane na gruncie materializmu dialektycznego

3) Literatura ta wychowa człowieka myślącego i działającego kolektywnie, będzie ona uczyła młodzież właściwego stosunku do pracy, do towarzyszy pracy, będzie dawała radość życia i radość tworzenia.

4) Literatura taka będzie wychowywała człowieka ofiarne i aktywnego w pełni rozumiejącego społeczną odpowiedzialność za swoją postawę i swoje postępowanie. Powierzanie zadanie i odpowiedzialność za wykonanie dziecku pojmować powinno tak, jakby od niego jednego zależały losy budowania socjalizmu.

5) Literatura ta musi sięgnąć po tematy i po problemy wprost do życia, do odbudowy kraju, do pracy szkolnej i poza szkolnej, nauki, organizacji młodzieżowych, by z samego życia wyciągnąć fabule żywą, interesującą młodego czytelnika, by na samym życiu ufnudować trwałe wartości pedagogiczne i ideologiczne, by bohater pozytywny naszych wielkich czasów, na którego czeka czytelnik, wyrósł z tego życia, które dziecko zna, czuje, widzi.

Wymieniliśmy szereg tez ideologicznych, sprzeciwować trzeba również wymogi formalne dla literatury o której mówimy. Socjalistyczna, ugruntowana na materializmie dialektycznym, treść dzieła wyrażona być może jedynie realistyczną formą. Zjazd wiele już powiedział, wiele jeszcze powie o realizmie socjalistycznym. Wszystkie zasady tego realizmu stosują się i do literatury dla dzieci i młodzieży, a obowiązują pod specjalną odpowiedzialnością, wynikającą ze specyfiki czy-



Na wystawie p. t. „Walka o pokój w rysunkach dzieci” urządzonych w Miejskim Ośrodku Informacyjnym w W-wie zgromadzono ok. 1.000 prac dzieci w wieku szkolnym. Na zdjęciu rysunek 14-letniego Jerzego Marszałowicza ze szkoły podst. w Zwierzyniu (kl. VII).

się nad tą tezą a jednocześnie uświadomimy sobie, że obecny stan literatury dla dzieci i młodzieży jest niezadowolający — sprawa staje się szczególnie ważna i wymaga interwencji całego aktywnego piśmarnictwa.

Jaki jest stan literatury współczesnej dla dzieci i młodzieży? Postaram się omówić w skrócie to zagadnienie, podając pod rozwagę główne pozycje literackie w tym zakresie. O poszczególnych pozycjach będę mówił jedynie przy okazji.

Pierwszą i bodaj najważniejszą pozycję w powojennej literaturze dla dzieci i młodzieży stanowią tłumaczenia z literatury radzieckiej. Tłumaczenia te, dość już obecnie obfite, reprezentowane są tak w dziedzinie prozy jak poezji.

Z gatunków literackich mamy tu wiersze dla dzieci Majakowskiego, Marszaka, Michalkowa. Wiersze piękne i mądre, wiersze proste w środkach wyrazu, dostępne dla młodego słuchacza, a jednocześnie zawierające rewolucyjną wiedzę o nowym świecie i najpoetyczniejszą formę, zatrzymującą uwagę dziecka i wyposażającą je w obraz najprawdziwszy, a jednocześnie działający na fantazję i pociąg do nadzwyczajności.

Powieść reprezentowana jest przez znane i duże nazwiska pisarzy jak Kuprin, Gajdar, Katajew, Kasil, Szware. Powieści tego typu co „Timur i jego drużyna”, „Biały samotny żagiel”, „Syn pulku” spełniają rolę najwyższych osiągnięć, których wartość jest już niemal klasyczna, a powieść tego typu co Szware „Uczennica i klasy” otwiera drogę do dobrej realistycznej literatury szkolnej, tak potrzebnej dla polskiego dziecka w wieku szkolnym.

Nazwiska Katajewa i Marszaka powtarzają się również w literaturze tłumaczonej na użytek polskich scen. Statki tych pisarzy grane były w Polsce i spotykały się z wielkim powodzeniem u dzieci, z uznaniem u krytyków.

W literaturze wszakże tłumaczonej najliczniej występują opowiadania dłuższe i krótsze o najróżnorodniejszych tematach. A więc i opowiadania o wielkich ludziach Zł. Radzieckiego jak np. Anny Ułjanowej „Dzieciństwo”, szkolne lata Lenina”, opowiadania o wojnie z hitleryzmem Wierzy Inber i Szolochowa, opowiadania o życiu młodzieży radzieckiej w organizacji pionierów jak np. Zielenowa „Złoty strumień”. Dominują jednak opowiadania przyrodnicze o zwierzętach. Wachlarz tych opowiadań bardzo szeroki, od Lwa Tołstojego po przez Paustowskiego (Dni lata), Nosowa (Wesoła rodzinna), Durowa (Moje zwierzęta) do Owsejowej, Żytkowa i Wasyla Bianki — dale już w tej chwili duży i dobry materiał wiadomości przyrodniczych podanych dziecku w sposób nadzwyczaj zabawny i pomyślowy, a jednocześnie oparty na zasadach nowych teorii naukowych i wychowawczych. Obraz świata przyrodniczego odbija się w świadomości dziecka na podstawie obserwacji życia przyrody w jej swobodnych warunkach, co rzecz prosta wyklucza nagminnie u nas stosowany antropomorfizm.

Można śmiało postawić tezę, że w tej chwili bazyjemy na tłumaczeniach z literatury radzieckiej, bazujemy i w sensie dostarczania dziecku polskiemu najwyższych jakości literackich i w sensie poszukiwania ideologicznych i artystycznych dla rodzimej produkcji literackiej. Fakt ten jest słuszny. Literatura radziecka dla dzieci i młodzieży produkuje w dzisiejszym świecie, daje najlepsze przykłady wychowawcze i polityczne, daje najlepszy poziom artystyczny. Gdyby jeszcze wydawnictwa bardziej dbały o trafny wybór pozycji tej literatury, możnaby akcje tłumaczeń

tości, które zawierają niewątpliwie. A szkoda! Bo proza Kuprina jest wspaniała, należy jednak w wyborze tekstu kierować się nie przypadkiem, ale przemyślanym programem, dostosowanym do potrzeb dnia dzisiejszego i dzisiejszego czytelnika na właściwym mu stopniu rozwoju.

Drugą bazę literacko — wychowawczą stanowią wznowienia polskich klasyków. Klasyki nie są jeszcze dostatecznie wykorzystane, jednak na koncie aktywów poszczególnych wydawnictw figurują zasługi wznowienia Orzeszkowej, Konopnickiej, Prusa, Dągalskiego. Z tych wznowień również indywidualizm i psychologizm, które odbierają dziecku zdolność działania w grupie, radość pracy i tworzenia, energię na wysiłek, aby być abstrakcyjnie ludzkim, współczującym, do brym po jakichś długich procesach wglądania w głąb siebie i rozmyślań nad sobą.

Całkowicie i inną grupę jakościowo tworzą pozycje literackie, ilościowo najobfitejsze zasłajające rynek

Dobra książka dla dzieci, to dziś nie tylko poważne zagadnienie literackie, to także pałacy codziennym problem w naszej pracy wychowawczej. Braki, istniejące na tym odcinku, odczuwamy codziennie i chciałabym o tych brakach i o tych zadaniach mówić słowami samych dzieci, słowami, które docierają do nas w codziennych rozmowach w szkole, na zbiorach harcerskich, które docierają do nas w postaci listów dzieci z całej Polski, dzieci starszych, mówiących jak gdyby w imieniu swych najmłodszych kolegów, nie znajdujących jeszcze wyrazu dla swoich pragnień.

Janusz Łaskowski, lat 13, z Katowic: „Książka, o której marzę, byłaby książką przedstawiającą życie nas, chłopców i dziewczyn, o naszym życiu, szkole i kłopotach codziennych, żeby ta książka była wzorem i wskazówką naszym wszystkim czynom.”

Gałęzka Artur, lat 15, z Buska Zdroju: „Bohater mojej wymarzonej książki powinien być żywym, otwartym, zdolnym, choć trochę leniwym chłopcem. Dlaczego leniwym? Ażby przy końcu książki wziął się porządnie do roboty i wyszedł na prymusa. Chciałbym widzieć go odpowiadającego przy tablicy, grającego w „cymbargaję”, pracującego w organizacji młodzieżowej, jeżdżącego z wermą na nartach, organizującego spółdzielnię uczniowską i pomagającego matce w rąbaniu drzewa. Chcę znać jego troski i pragnienia, jego radości i przykrości. Ale nie chcę, by mój bohater był sztywnym, papierowym typem. Nie chcę, aby zawsze wszystko robił dobrze, by był ideałem. O, nie. Niech gra w piłkę i dostanie czasem dwie (były się z niej wyciągnąć). Niech się czasami pobije na korytarzu, czy wybijie szybę. Taka niech będzie moja wymarzona książka.”

To, co piszą dzieci, jest chyba wyraźnym wołaniem właśnie o poważny realizm socjalistyczny w literaturze dla nich. Z dzieci umiemy wybierać, że one same czują, to co my z naszej praktyki wiemy, iż tylko poważne traktowanie zadania, tylko prawdziwy artystyzm, robi z książki niezawodne narzędzie wychowawcze, to pokazuje wypowiedzi dzieci na temat książki radzieckiej.

Wiktorija Dewitziowa

Piszcie dla dzieci*)

O książce „Timur i jego drużyna” Gromny Marusz, lat 14, z Ciechanowa pisze: „Taka książka jak np. „Timur i jego drużyna” musi podobać się każdemu. Jeżeli czytam książkę o młodzieży radzieckiej, to każda postać jest dla mnie tak prosta i bliska, że mógłbym podobną wskazać w swoim otoczeniu. To są książki o prawdziwym życiu, o prawdziwej młodzieży. Często zastanawiam się dlaczego u nas nie ma takich książek. Ja marzę właśnie o takich książkach. Chcę, żeby te książki były proste, żeby opisywały życie nasze i jego troski, zmartwienia i radości. Chcę, żeby opowiadały o życiu naszego harcerstwa, o życiu kolegów z ZMP, o naszej pracy w szkole i w domu, w fabryce i na roli, w mieście i na wsi.”

Danuta Marzec, lat 15, z Bielska: „Tak się dziwnie składa, że książki, które mi się podobały, były rosyjskimi autorami. Książki te czytałam z zapartym tchem. Przedstawiały one proste, a zarazem potęgę młodzieży, jej beztróską zabawę w czasie pokoju i walkę z wrogiem w czasie wojny. Szczególnie z tych książek podobała mi się „Młoda Gwardia”. Martwi mnie jednak to, że polscy pisarze nie piszą takich książek. A przecież młodzież polska też potrafi cieszyć się szczęściem drugich, też potrafi ginać za ojczyznę, jest tak samo wesoła. Marzę o książce polskiego autora, która opowie o nas, o młodzieży polskiej.”

Dzieci dopominają się o to, żeby książka pokazała im wzór, żeby była dla nich drogowskazem w tych wszystkich problemach, w tych trudnościach, w tej walce, która ma miejsce w środowisku dziecięcym, w życiu koleżeńskim, w życiu domowym.

Jest wzruszająca wypowiedź jednej z dziewczyn, która powiedziała tak: „Ja wiem, że mi jeszcze nie pracujemy tak, jak dzieci radzieckie w szkole, ale czy nie znalazłby się w szkole ani jeden taki polski chłopiec, o którym warto by napisać?” Wydaje mi się, że takie wołanie nie powinno pozostać bez odpowiedzi. Dzieci żądają od książ-

zek moralnej wartości, domagają się wzoru, szukają w książce pomocy dla siebie, ceniąby znaleźć tam rozwiązania własnych problemów, z którymi spotykają się w swoim środowisku. Pytają się wyraźnie, jak ma postąpić dzisiaj dziecko, ażeby być dobrym Polakiem.

Obecne książki dla dzieci nie dają jeszcze naszym najmłodszym czytelnikom odpowiedzi na ich pytania i nie pomagają nam wychować w pracy. Patriotyzm dziecka, jego rodzacy się nowy stosunek do kraju, jego stosunek do zadań szkolnych, które dziecko zaczyna rozumieć, nie znajduje swojej pozytywnej literatury dziecięcej, nie ma na czym rosnąć. Brak jest książek, które pokazywałyby dzieciom moralny sens naszego życia, jego przemiany, które porwałyby do zadań tak jak książka Gajdara, która stworzyła ruch Timurowców. Dzieci dopominają się o taką książkę. Piszą tak: „Niech to będą książki o temacie obecnej chwili, bo to najbardziej przemawia, niech to będą książki o technice, inżynierze, uczniu, który swą wyteżoną pracą, mimo przeciwności, osiąga postawiony sobie cel. Niech to będzie książka o sportowcu polskim, który przez wytrwałą pracę nad sobą osiąga wspaniałe wyniki i przysparza chwały sportowi polskiemu, niech to będzie książka o chłopcu-bohaterze, wykazującym męski hart ducha i zwalczającym zł.”

Wiele dzieci wymienia w listach, prosząc o dobrą książkę swoich znajomych i bliskich. „Mój ojciec jest przewodnikiem pracy w fabryce, mój brat dokonuje racjonalizatorskiego wynalazku”. Opisuje trud, jaki ten brat-racjonalizator wywołał w swój pomysł.

Nasza literatura dziecięca o tematyce współczesnej, to książki przeważnie dla młodszych dzieci i w ogromnej większości pozbawione dwóch niezbędnych czynników: porównania bohatera i akcji. Dlatego wśród naszych czytelników dzieci, największym uznaniem cieszy się „Opowieść o prawdziwym człowieku”: — „było tam

bardzo dużo trudnych rzeczy, ale mi się bardzo podobały.” Albo proszą o takie książki jak „Człowiek, który się kulom nie kłaniał”. Takich książek mamy za mało. W przeciwnieństwie do tego musimy wymienić „Młynek miłacy” Gałczyńskiego. Jedenastoletnia harcerka po przeczytaniu tej książki wyraziła swój sąd: „poco takie głupstwa pisać, kiedy to są poważne sprawy.”

Wydaje mi się, że ten sąd jest bardzo trafny. Nie wolno pisać głupstw dla dzieci i nie wolno pisać dla dzieci książek o treści niepoważnej. Nasze dzieci dopominają się o treść życia. W tych wypadkach musimy czerpać przykład ze Związku Radzieckiego. Piszą chłopcy: „chcielibyśmy książki tak jak dawniej o Indianach, ale niech to będzie o Vietnamie, tam się też biją w lasach i bardzo dzielnie, więc chcemy, żeby oni zwyciężyli.”

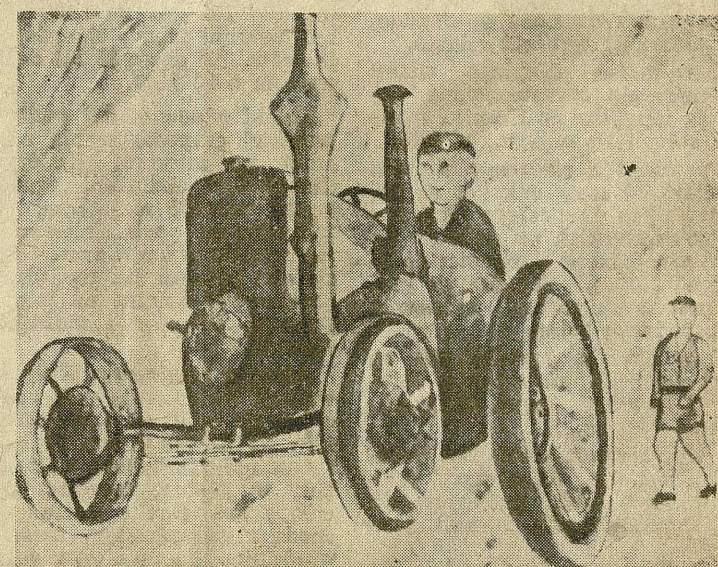
Tak rozumują dzieci dzisiejsze. Podczas ostatniej bytności w Związku Radzieckim mogłam się przekonać, jak poważnie traktowana jest tam literatura dla dziecka i jakie zajmuje miejsce. Zaden z poważnych literatur radzieckich nie uważa za uimę wziąć za pióro i napisać do „Pionierskiej Prawdy”.

Wydaje się, że te sprawy literatury młodzieżowej są bardzo poważne i powinny być wzięte pod uwagę w naszej pracy. Jest to zadanie, które zostało podjęte w Czechosłowacji i w Związku Radzieckim. Literatura dziecięca czeka na wyciągnięcie wniosków z doświadczeń z literatury radzieckiej. W Związku Radzieckim nadchodzi rocznie 35 tys. wypowiedzi dzieci na tematy książek o poszczególnych autorach. Pisarze tej miary co Michalik, Pawlenko przychodzą i studiują wypowiedzi swych czytelników.

To są nasze drogowskazy i mnie się wydaje, że nasi pisarze uzyskaliby dużo wartościowego materiału, gdybyśmy w swej pracy wzięli pod uwagę te wypowiedzi naszych czytelników-dzieci.

Wiktorija Dewitziowa

*) Fragment przemówienia na Zjeździe Delegatów Z. L. P. dn. 24.VI. 1950.



Rysunek St. Poletko ze szkoły podst. w Koszycach.

telnika, jego wieku i mentalności, wynikająca ze specyfiki zagadnień pedagogicznych w stosunku do tego czytelnika.

Czy tezy zestawione powyżej zacieśniają granice nowej literatury? Nie. Wprost przeciwnie. Gwarantują jej warunki rozwoju i rozkwitu, otwierają jej nowe możliwości. Materiał, jaki w tej chwili dostarcza nam życie jest wspaniały, atmosfera, w której mamy wychować dziecko — czysta, zadania, do których mamy przygotować młode pokolenie — na miarę bohaterstwa. Od nas zależy jednak, czy potrafimy wiekowi wielkich spraw nadać blask nowej niezwyczajności i nowej romantyki, opartych nie na abstrakcyjnej fantastyce, ale na realizmie wielkich marzeń, wielkich dramatów, wielkiego rozmachu. Od nas to wszystko zależy.

Alto to nie tylko sprawa dobrej woli. To sprawa przede wszystkim naszego emocjonalnego stosunku do tego, co się dzieje wśród nas i co przekazujemy w książce. Dzieło nie da się bowiem zafałszować. Prawda wewnętrzna pisarza wypływa na wierzch w przebiegu czytelnika.

Pragniemy wszyscy dobrej literatury dla dzieci i młodzieży pragniemy i staramy się ją tworzyć. Na zakończenie stwierdzić również trzeba, że o tyle, o ile ważna jest nasza orientacja w zadaniach literatury i nasza wola tworzenia nowych wartości, o tyle ważna jest również pomoc czynników w naszej pracy. W związku z tym deklarujemy i stawiamy następujące wnioski:

1) Wzmagamy pocucie odpowiedzialności za nasze piśmarstwo, prowadzimy walkę o jakość literatury, o nowość i jej stosunek.

2) Dokształcamy się w zakresie marksizmu-leninizmu i pedagogiki współczesnej.

3) Zwracamy się do nowego Zarządu ZLP z wnioskiem o stworzenie sekcji literatury dla dzieci i młodzieży.

4) Zwracamy się do Zarządu ZLP z prośbą o pośredniczenie między nami a wydawnictwami w sprawie udzielania pomocy finansowej pisarzom pracującym nad konkretnym zadaniem literackim, o interwencje w sprawie postawienia na właściwym gruncie recenzji wydawniczych, które dotąd jeszcze ze szkoda dla pisarzy są anonimowe i nieodpowiedzialne, o odpowiednie traktowanie pisarzy przez redaktorów działu wydawnictw dla dzieci i młodzieży.

5) Prosimy zarząd o włączenie piszących dla dzieci i młodzieży do akcji wyjazdów w teren.

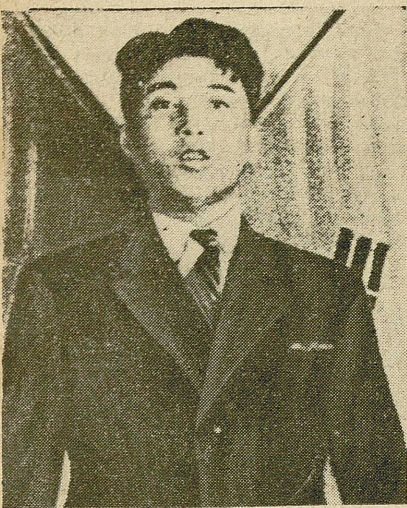
6) Apelujemy do krytyków literackich o ich zainteresowanie dziełami literatury dla dzieci i młodzieży. Pragniemy, aby nasze książki były oceniane na równi z innymi pojęciami literackimi, aby krytyka notowała nasze błędy i nasze osiągnięcia.

Wanda Żółkiewska

*) Przemówienie na Zjeździe Delegatów ZLP dn. 25.VI. br.

STEFAN WILANOWSKI

O T O K O R E A !



Gen. Kim Ir Sen, prem'er Koreańskiej Republiki Ludowo-Demokratycznej.

Korea mierzy 220 tysięcy kilometrów kwadratowych i liczy około 28 milionów ludności. Półwysp Koreański, który ze wschodu oblewa Morze Japońskie a z zachodu Morze Żółte, mierzy w najszerszym punkcie 400 km., i jest długi 800 km. Nieregularne brzozy Korei mierzą 17.300 km.

Przed najazdem japońskim chłopów koreańskich eksploatowali rodzimi obszarnicy i lichwiarze. Po podboju stali się nadto ofiarami imperializmu japońskiego.

Od 1905 r. do 1910 r. Korea była „pod protektoratem” Japonii. W 1910 r. nastąpiła prosta aneksja. Korea została wcielona do Japonii, jako generalne gubernatorstwo.

Już w końcu ubiegłego wieku rozpoczęła się zorganizowana penetracja japońska do Korei: Japończycy zaczęli wykupywać ziemie.

W początkach bieżącego stulecia gospodarka Korei, tak jak gospodarka Chin i całego szeregu państw azjatyckich opierała się na rolnictwie. Chcąc ekonomicznie opanować Koreę, Japończycy musieli przede wszystkim opanować jej gospodarkę rolną.

Już w okresie protektoratu za grosze wykupili od chłopów setki tysięcy jomgbo (czyt. dzongbo). Jomgbo — 0,9 ha.

Do wywłaszczenia chłopów koreańskich z ziemi Japończycy używali tak instytucji państwowych, jak półpaństwowych i osób prywatnych.

W 1908 r. powołane zostało do życia Wschodnie Towarzystwo Kolonizacyjne. To był ośrodek, który planowo kierował akcją wywłaszczeniową i organizował aparat kolonialnego wyzysku. Wymienione Wschodnie Tow. Kolonizacyjne powołało do życia szereg instytucji i organizacji, które pozorne miały służyć do gospodarczego podniesienia kraju, a faktycznie były środkiem do wywłaszczenia chłopów z ziemi, i imperialistycznej eksploatacji. A więc powstały Wiejskie Stowarzyszenia Pieniężne, Towarzystwa dla używania wody, Wschodnie Towarzystwo dla Gospodarczego Rozwoju, wreszcie Bank dla Kolonizacji Korei.

W jaki sposób Japończycy wywłaszczali chłopów koreańskich?

Wiele ziemi chłopskiej nie miało rejestrów. Chłopi uprawiali tę ziemię od wieków, i nikt tego nie kwestionował. Wykorzystując fakt, że chłopci nie mieli dokumentów własności, Japończycy przejęli tę ziemię na rzecz państwa. Dla celów podatkowych chłopci ujawniali w rejestrach podatkowych mniejsze działki, niż faktycznie posiadali. Japończycy wywłaszczali chłopów z części działek, które nie figurowały w rejestrach podatkowych. Ponadto istniały wywłaszczenia „dla celów państwowych”. Dziwnym zbiegiem okoliczności państwu były potrzebne zawsze najlepsze działki rolne.

Z ogólnej liczby 4.600.000 ha — 130 tysięcy ha posiadało w 1934 r. Wschodnie Towarzystwo Kolonizacyjne, zaś około 65 proc. uprawnej ziemi było zależne od wyżej wymienionych organizacji japońskich „dla gospodarczego rozwoju”.

W 1942 r. już około 420 tysięcy ha było w rękach obszarników i bogatych chłopów japońskich.

Ponieważ ziemia nie mogła leżeć odłogiem, Wschodnie Tow. Kolonizacyjne zaczęło wydzierżawiać ziemię i chłopom koreańskim oczywiście na lichwiarskich warunkach. A kandydatów na dzierżawców było dużo.

Proces wywłaszczania chłopów z ziemi odbywał się bardzo szybko. Gdy w 1914 r. liczba najbardziej wyzyskiwanych — tj. dzierżawców — wynosiła 900 tysięcy, w roku 1942 już jest 1.640.000 chłopów bez własnej ziemi, chłopów dzierżawców. W ciągu 28 lat liczba ich wzrosła o 80 proc.

Dzięki odpowiedniej polityce japońskiej gospodarowanie na ziemi stało się zajęciem deficytowym. Chłopi byli obdłużeni przeważnie ponad wartość majątków. Często faktycznymi właścicielami byli wierzyciele — lichwiarze. Tym ostatnim było nieraz wygodniej nie przejmować gruntu na własność i trzymać chłopów — dłużników w niewoli.

Autorka artykułu o Wpływie Rewolucji Październikowej na ruchy chłopskie w Korei („Woprosy istorii”, Nr 6 1949 r. str. 6) F. Szabszyna przytacza fakt następujący: Gdy w 1931 r. zapytała pewnego chłopca koło Seulu, ile ma on dochodu z gospodarstwa, tenże odpowiedział: „Nie pytajcie nigdy chłopów koreańskich, ile ma on dochodu, a pytajcie go, ile ma długów”.

W 1943 r. 80 proc. chłopów koreańskich miało tak drobne kawałki gruntu, że nie mogli z nich żywić, i musieli dodatkowo wydzerżawiać ziemię u obszarników.

Japończycy nie tylko nie zwalczali, ale popierali koreańskich obszarników, uważając ich za podporę imperializmu japońskiego.

Nie było żadnego ograniczenia przy określaniu tenuty dzierżawnej. Obszarnik starał się wydusić z chłopca, ile się tylko dało. Przeciętna tenuta dzierżawna wynosiła 60 do 80 proc. plonów. Do tego

Od kilkunastu dni cała postępową opinią świata z rosnącym oburzeniem śledzi rozwój sytuacji w Korei. Pozostający na usługach wielkiego kapitału reżim Li Syn-Mana wywołał w Korei wojnę domową, która przerodziła się w otwartą agresję imperialistów amerykańskich przeciw narodowi koreańskiemu.

Uwaga światowego obozu pokoju z podziwem i uznaniem odnosi się do bohaterstwa narodu, który pod przewodnictwem Partii Pracy i jej kiero-

dochodzący różnego rodzaju feudalne powinności, jak: młócenie zboża obszarnika, bezpłatny przewóz dla niego itp. Umowy dzierżawne były z reguły zawierane na rok, i dzierżawca ciągle drżał z obawy, że rok się skończy, i on straci i ten nędzny środek utrzymania. Obszarnicy z reguły mieszkali w miastach. Na wsi działali w ich imieniu pełnomocnicy-pośrednicy. Oni dostawali dodatkowo od chłopów — dzierżawcy procent, chłop obierał im darmo ziemię itp. Pomimo tenuty dzierżawnej, na chłopach ciążyły jeszcze różne podatki i ciężary. Liczba ich dochodziła do 50, a w tej liczbie było 11 różnych podatków bezpośrednich („Komunistyczny Internacjonal” Nr 17, 1934 r., str. 19).

Nie sposób nie wspomnieć jeszcze o dwóch pojęciach specyficznie koreańskich, mianowicie „czunkung” i „hwadzionmin”.

Czunkung — to wiosenna bieda. Na wiosnę chłop koreański bowiem z reguły przyniemiał głodem.

Hwadzionminy to ludzie „ogniowych pól”. Biedni chłopci, chcąc nie umrzeć z głodu, szli w niezamieszkałe obszary, karczowali lasy i grunta pokryte krzewami, wypalając grunta. Stąd — ogniowe pola. Normalnie, gdy „ogniowe pola” były gotowe do uprawy, zjawiali się jak spod ziemi właściciele, i żądali tenuty dzierżawnej. Wtedy hwadzionmin musiał opuścić wykarczowane pole, i szukać nowych terenów. Powstało przysłowie: „Biedny jak hwadzionmin” (Szabszyna, art. cyt. str. 6).

W 1941 r. było 59.300 zagrod hwadzionminów, na których żyło 320 tysięcy ludzi. Obrabiali oni 134.000 ha „ogniowych pól”.

Ponieważ tenuta dzierżawna była wysoka, a dzierżawne podatki — małe, wielu dzierżawców, poza dzierżawionymi gruntami, obrabiał „ogniowe pola”, by jakoś przeżyć. W tymże 1941 r. 210 tysięcy rodzin dzierżawców (1.124.000 ludzi) obrabiali, poza dzierżawionymi, jeszcze 260 tysięcy ha „ogniowych pól”.

Na uwagę zasługuje jeszcze japońska polityka, dotycząca produkcji ryżu. Gdy Japonia potrzebowała więcej ryżu, rząd japoński nakazywał zwiększenie produkcji ryżu w Korei. To ostatnie wymagało nawadniania pól przez Towarzystwa dla używania wody. Ponieważ opłaty za nawadnianie były ponad normę wysoki, z reguły chłopci nie byli w stanie tych opłat

wnika Kim Ir-Sena zdecydowanie i skutecznie wystąpił przeciw rodzimej reakcji i przeciwstawił się perfidnie zorganizowanej napaści, zmierzającej do uczynienia z Korei nowej kolonii amerykańskiej. Walka narodu koreańskiego jest walką o jego społeczne, narodowe, polityczne wyzwolenie i zjednoczenie. Jest walką milionów ludzi o możliwość pokojowej pracy nad budową demokratycznej przyszłości. Artykuł poniżej informuje o historii, gospodarce i dzisiejszym narodzi koreańskiego.

uregulować, i ziemia chłopów koreańskich przechodziła na własność Towarzystwa dla używania wody. Japońska polityka ryżowa prowadziła do wywłaszczania z ziemi chłopów koreańskich. W 1929 r. wymienione towarzystwo już było właścicielem połowy wszystkich pól ryżowych w Korei.

Pod bezpośrednim wpływem Wielkiej Rewolucji Październikowej w marcu 1919 r. w Korei zaczęły się demonstracje antyjapońskie. Demonstracje zamieniły się w powstanie, krwawo stłumione przez Japończyków. W powstaniu brał udział w większości chłopci. Ich udział nadał całemu ruchowi charakter masowy, i przygotował podstawy dla ruchu narodowo-wyzwoleńczego. W 1923 r. powstaje „Koreańskie Towarzystwo Robotnicze — Chłopskie” i „Południowo-Koreańska Federacja Robotniczo-Chłopska”. W 1924 r. powstał „Powszechny Koreański Robotniczo — Chłopski Związek”. Ale te organizacje były stosunkowo słabe.

W 1925 r. powstała Komunistyczna Partia Korei.

W 1929 r. i w 1930 r. wybuchają buntury chłopskie, chłopci odmawiają uiszczania podatków, napadają na posterunki policyjne, palą dwory obszarników, niszczą dowody lichwiarskich umów dzierżawnych i pożyczek.

Ruchy te zostały stłumione, lecz nie stłumione zostało dążenie do wyzwolenia ludu koreańskiego.

W rezultacie drugiej wojny światowej do Północnej Korei wkroczyła Armia Radziecka, zaś Południową okupowały wojska Stanów Zjednoczonych. Północna Korea obejmuje 57 proc. terytorium i 2/5 ludności. Według danych z 1939 r. w Północnej Korei wydobywa się 99,9 proc. rudy żelaznej, 99,5 proc. antarcytu, 97,7 proc. węgla brunatnego, 78,5 proc. wolframu i molibdenu, 72 proc. złota i srebra. W 1937 r. Północna Korea dawała 92,7 proc. całej produkcji metalurgicznej i 85,7 proc. produkcji chemicznej. W kombinacie chemicznym w Hynnamie pracowało w czasie wojny 40 tysięcy robotników.

Południowa Korea daje 69 proc. produkcji ryżu, 85,7 proc. jęczmienia, 77,3 proc. — bawełny (dane z 1937 r.). Jak widać z powyższego przemysł a zatem i masy robotnicze są skoncentrowane w Korei Północnej.

Klasa robotnicza Korei była wyzyskiwana przez japońskich imperialistów. Robotnicy pracowali po kilkanaście godzin dziennie za po-

łowe płacy Japończyka. Kobiety z reguły otrzymywały jeszcze o połowę mniej.

Pod naciskiem ludu koreańskiego władze japońskie w sierpniu 1945 r., jeszcze przed wejściem wojsk radzieckich i amerykańskich, zmuszone były oswozić więźniów politycznych. Komunistów koreańskich 20 sierpnia 1945 r. pod przewodnictwem Pak - Chen - Ena przystąpili do odbudowy Komunistycznej Partii Korei, która stała się bojowym centrum demokratycznych i postępowych sił kraju.

Zaraz po kapitulacji Japonii w stolicy Korei, Seulu, utworzył się Komitet Przygotowawczy dla organizacji władzy państwowej w Korei. Równocześnie w całym kraju tak w Północnej jak i w Południowej Korei zaczęły powstawać lokalne komitety narodowe. Różnie się one nazywały, ale wszystkie były organami władzy ludowej kraju.

6 września 1945 r. odbył się w Seulu zjazd ogólnokrajowy, na który przybyło 1000 delegatów z całej Korei; brały w nim udział różne partie i reprezentowane były różne kierunki. Został wybrany Centralny Komitet Narodowy Koreańskiej Republiki. Komitet ogłosił deklarację; postanowiono: stworzyć państwo niepodległe tak w sensie politycznym jak i gospodarczym, zlikwidować resztki japońskiego imperializmu i feudalne przywileje i według zasad prawdziwej demokracji zaspakajać polityczne, ekonomiczne i społeczne potrzeby narodu, zabezpieczyć jak najwyższe podniesienie stopy życiowej robotników, chłopów i wszystkich pracujących, uczynić Koreę krajem demokratycznym i razem z innymi krajami utrzymywać pokój.

By zrealizować wyłuszczone zasady, postanowiono: 1) natychmiast uchylć wszystkie przepisy prawne, wydane przez japońskie władze kolonialne, 2) unarodowić ziemię japońskich okupantów i koreańskich kłoboracionistów i rozdzielić ją bezpłatnie między chłopów, 3) unarodowić wszystkie należące do Japończyków fabryki, zakłady, kopalnie, koleje żelazne, transport morski, banki i środki łączności, 4) wziąć pod kontrolę państwową wszystkie przedsiębiorstwa przemysłowe i handlowe, 5) ustanowić 8-godzinny dzień roboczy, 6-godzinny dzień roboczy dla pracowników nie mających 18 lat, zabronić pracy młodocianych niżej 14 lat, 6) zabezpieczyć narodowi koreańskiemu swobody polityczne: wolność słowa, prasy, zebrań, związków, demonstracji i wyznania, 7) przyznać prawa wyborcze wszystkim obywatelom, którzy ukończyli lat 18, bez różnicy płci, z wyjątkiem zdrajców, i 8) wprowadzić powszechne obowiązkowe nauczanie.

Oczywiście, że te demokratyczne reformy mogły być wprowadzone jedynie w Północnej Korei, dzięki pomocy Armii Radzieckiej, która podtrzymała inicjatywę mas ludowych, i uznała Przygotowawcze Komitety za legalne organy władzy państwowej.

W październiku 1945 r. zostało zorganizowane Biuro Organizacyjne Centralnego Komitetu Komunistycznej Partii Korei, pod przewodnictwem zasłużonego działacza Kim Ir Sena, obecnie premiera rządu. Komunistyczna Partia stała na czele narodu w walce o osiągnięcie ustroju demokratycznego i stworzenie jednego niezawisłego państwa koreańskiego. Pod przewodnictwem K. P. Korei zorganizowane zostały w Północnej Korei związki zawodowe, komunistyczny związek młodzieży, organizacja demokratyczna kobiet. Powstał szereg związków chłopskich, które następnie połączyły się w jeden związek chłopski.

Reformy demokratyczne dały Korei wiele. Chłopi otrzymali ziemię. Odbudowane fabryki przekroczyły produkcję przedwojenną. Podniosła się stopa życiowa obywateli.

Wrecz przeciwnie przedstawiała się sytuacja w Korei Południowej. Amerykanie nie uznali Komitetów Przygotowawczych, faktycznych reprezentacji narodu koreańskiego. Oparli się oni początkowo na samych Japończykach, a gdy to już było za bardzo rażące, na Koreańczykach „obeznanych z administracją”. Obeznanymi z administracją byli kłoboracioniści, zdrajcy z narodu koreańskiego, którzy służyli Japończykom „zapoznawali się z administracją”. Na czele administracji południowej Korei stoi notoryczny zdrajca narodu Li Syn Man.

Gdy w Północnej Korei dokonano demokratycznej reformy rolnej, skonfiskowaną Japończykom ziemię Li Syn Man rozprzedaje. Jak stwierdza w miesięczniku londyńskim (Asian Horizon, Vol. 2 Nr 1, 1949) Sunoo Hag-Won w artykule pod tyt. Problemy Polityki Koreańskiej, ziemię w południowej Korei mogą nabywać: 1) obecni obszarnicy i wielcy kapitaliści, 2) ludzie przez obszarników i kapitalistów finansowani (głównie na skutek związków rodzinnych lub małżeństwa), 3) spekulanci - obszarnicy, nabywający ziemię na imię osób podstawionych. Co to da w przyszłości? — zapytuje autor artykułu. 1) będzie utrzymywany dalej ostry kontrast między obszarnikami a dzierżawcami, 2) gospodarka chłopska będzie zależna od kapitalistów miejskich, 3) system feudalny będzie utrzymywany, 4) stworzy się warunki dla „gwałtownej” rewolucji.

To co było widoczne dla autora artykułu w angielskim miesięczniku, stało się widoczne tym bardziej dla koreańskiego narodu.

Imperializm amerykański, który przegrał w Chinach, znowa się nad nieszczęśliwym koreańskim narodem, który nie chce niczego więcej, tylko, by go ci amerykańscy uszczęśliwili zostawili sobie samemu. Bandyci amerykańscy, wyuczając swoją zagładę, nie tylko sami mordują dzieci i kobiety Korei, rzucając bomby na ludność cywilną, ale mobilizują do tego celu wszystkich łajdaków globu ziemskiego.

Stefan Wilanowski

Problem ludzi „luźnych” w dawnej Polsce postawiony został właściwie po raz pierwszy dopiero w wojennej literaturze naukowej rozprawą N. Assorodobraj p.t. „Początki klasy robotniczej”. Autorka, prowadząc badania nad jednym z pierwszorzędnych zagadnień okresu załamywania się feudalizmu i powstawania nowych form gospodarki kapitalistycznej w Polsce, a mianowicie nad problemem rąk roboczych dla powstającego w XVIII wieku przemysłu manufakturowego, zetknęła się z omawianym bardzo żywo w owym czasie zjawiskiem istnienia poważnej kategorii tzw. ludzi „luźnych” (na oznaczenie której używano zresztą współczesnie rozmaitych określeń jak: „włóczęgi”, „hulataje”, „ludzie swawolni” itp.) — ludzi stojących na marginesie ówczesnego ustroju społecznego. Autorka w oparciu o materiały jakich jej dostarczyła ówczesna publicystyka i akty ówczesnych władz administracyjnych (protokoły tzw. komisji cywilno-wojskowych, działających w okresie sejmów czteroletniego) dała żywy i bogaty w szczegóły obraz ludzi „luźnych”. Rekrutowali się oni z różnych klas społecznych, przede wszystkim z poddańczej ludności chłopskiej, zbiegłej z pańszczyznianych wsi, z mieszczan z małych miasteczek, ze służby domowej szlachty, z biedoty żydowskiej, wreszcie niekiedy z zdeklasowanych elementów szlacheckich. Charakterystycznym dla tych ludzi była płynność i zmienność sposobów zarobkowania. Podstawą były prace dorywcze najrozmaitszego rodzaju, przede wszystkim prace sezonowe w rolnictwie jak żniwa, sianokosy itp., wynajmowanie się do prac w rodzaju rąbania drzewa, kopania rowów itd. służby osobistej u szlachty i zamożniejszych mieszczan, dalej drobny handel, żebractwo zarówno w formie ulicznego żebractwa miejskiego jak i wódczego w wsiach od chaty do chaty, wreszcie nierazkiedy były wypadki uprawiania przez „luźnych” złodziejstwa czy nawet bandytyzmu.

Taki rodzaj źródeł utrzymania

JERZY MICHAŁSKI

LUDZIE „LUŹNI”

zmuszał tę kategorię ludności do ciągłej zmiany miejsca pobytu, do stałego włóczęgostwa, które stawiało ich wprost nałogiem i było zdaniem autorki jedną z najistotniejszych cech — ludzi „luźnych”. Szlachta i bogatsi mieszcianie odnawiali się do ludzi „luźnych” wrogo. Pragnęli oni znieść swobodę zmieniania miejsca i rodzaju pracy, skasować swobodę poruszania się „luźnych” po kraju i zmusić ich do obrania stałego miejsca zamieszkania, narzucić „luźnym” pracę na warunkach korzystnych dla pracodawców. Autorka, opierając się przede wszystkim na publicystyce okresu stanisławowskiego, wiąże to nastawienie z charakterystyczną dla epoki budzącego się kapitalizmu ideologią produktywności. „Marzy się ludziom epoki stanisławowskiej — pisze N. Assorodobraj — coś w rodzaju zorganizowanego społeczeństwa pracy, w którym wszyscy jego członkowie wchłonęli przez mechanizm życia gospodarczego odrębną określoną funkcję” (str. 209). Stąd walka z „proźniactwem” w pierwszej mierze kierująca się przeciw ludzium „luźnym”. Ówczesna publicystyka jest niewątpliwie wyrazem pewnej awangardowej ideologii gospodarczej, reprezentującej interesy powstającego kapitalistycznego przemysłu manufakturowego. Panujący ustrój feudalny, pańszczyzna i przyzwyczajenie mas chłopskich do ziemi — zamykały przed manufakturami największy rezerwuuar siły roboczej, jakim była wieś. Rodzący się kapitalizm był jeszcze za słaby by rozbić przestarzałe formy ustrojowe i stworzyć wolny rynek pracy. Na tym stadium rozwojowym próbował on czerpać siłę roboczą, uciekając się do różnych form przymusu pozagospodarczego. Wzrok przedsiębiorców manufakturowych kierował się więc na ludzi „luźnych”,

Stąd domaganie się od władz państwowych czy samorządowych tępienia swobody „luźnych” i przymusowego kierowania ich do manufaktur. Okropny wyzysk panujący w ówczesnych manufakturach był związany ze stosowaniem bardzo ścisłego nadzoru nad pracownikami, tak że w manufakturach ówczesnych panował regime niemal więzienny. Mimo to przedsiębiorcom było bardzo trudno stworzyć z „luźnych” element wdrożony do intensywniej i systematycznej pracy. „Luźni” zwykli przedrzeć czy później porzucić manufaktury i wracali do poprzedniego życia, dającego im na ogół lepsze warunki materialne i większą swobodę.

Wnikliwa rozprawa N. Assorodobraj rozwiązuje jedynie części problemów związanych z ludźmi „luźnymi”. Autorka zastrzega się, że istnieje cały kompleks zagadnień związanych z rolą ludzi „luźnych” w gospodarce rolnej. Wydaje się, że ten problem jest najistotniejszy ze względu na par excellence rolniczą strukturę gospodarczą dawnej Polski, zwłaszcza jeżeli chodzi o czasy wcześniejsze od omawianych przez N. Assorodobraj. Ze zagadnienie ludzi „luźnych” można cofnąć daleko wstecz do XV wieku, zwrócić uwagę St. Sreniowski w swej rozprawie p.t. „Zbiegostwo chłopów w dawnej Polsce jako zagadnienie ustroju społecznego”, gdzie jeden z rozdziałów poświęcił ludziom „luźnym”. Jakkolwiek autor oparł się na bardzo szczupłym i jednostronnym materiale źródłowym, jakim są pomniki ustawodawstwa, to jednak wykazał, że problem ludzi „luźnych” i ich zwalczanie jest aktualny jeszcze w pełni rozkwitu ustroju feudalnego. Rozpatrując za gadnienie „luźnych” od strony wsi, widzimy całą złożoność tego problemu. Przede wszystkim nasuwa

się pytanie, kogo uważać należy za „luźnych” i o ile są oni jakąż trwałą grupą społeczną. O ile „luźni” na bruku miejskim posiadają dość ostre kontury oddzielające ich od innych klas mieszańców, to o tyle na wsi „luźni” jest znacznie bliższy środowiska, z którego wyszedł. Bo przecież „luźni” to przede wszystkim zbiegli poddani, którzy nie od razu zmienili dawne więzy poddańcze na nowe, to chłopci pańszczyzniani, którzy szukają sezonowego zarobku poza swą wsią, to synowie czy córki gospodarzy nie znajdujący czy nie chcący znaleźć zatrudnienia w gospodarstwach swoich ojców, a wreszcie przede wszystkim liczne kategorie bezrolnych jak komornicy, czeladź dworska czy koczniacy zamożniejszych chłopów i t. d. Wskutek tego linia podziału jest tutaj płynna, ten sam człowiek może w życiu parokrotnie stawać się „luźnym” — „hulatajem” i wracać znowu do swego środowiska. Trudnym bardzo do stwierdzenia jest fakt, czy istnieje stała kategoria „luźnych”, którzy z ojca na syna potrafią się w niej utrzymać. Szlachta, właściciele ziemscy zwalczają „luźnych”, chcą im zabronić swobodnego poruszania się i szukania korzystnych zarobków, chcą przykuć ich do swego folwarku na możliwe najgorszych warunkach — świadczą o tym ustawy cytowane w pracy Sreniowskiego. Zresztą i omawiana przez N. Assorodobraj działalność represyjna komisji cywilno-wojskowych wobec „luźnych” była niewątpliwie wyrazem interesów szlacheckiego folwarku. Szlachta zwalczając „luźnych” dążyła do uczynienia z „luźnych” pańszczyznianych chłopów bądź taniego naturalnego sezonowego, chciała usunąć ich „demoralizujący” wpływ na poddanych chłopów, pragnęła również dostarczyć siły roboczej dla gospodarstw chłopskich, by w ten

sposób zwiększyć możliwości odbudowy pańszczyzny. Wszelkie jednak kroki represyjne przeciw „luźnym” nie dawały istotnych rezultatów i ta kategoria ludności utrzymywała się przez cały czas trwania dawnej Rzeczypospolitej. Tymaczej to można nie tylko słabością organów administracyjno - policyjnych w dawnej Rzeczypospolitej, ale przede wszystkim tym, że ludzie ci byli do pewnego stopnia niezbędni w ramach ówczesnego ustroju. Na ten fakt zwrócił ostatnio uwagę J. A. Gierowski w swoim cennym artykule p. t. „Ludzie luźni na Mazowszu w świetle uchwał sejmikowych” (Przegląd historyczny rocznik 40). Obok bowiem gospodarstw wyłącznie pańszczyznianych istniały liczne gospodarstwa, w których siła najemna odgrywała dużą rolę, zwłaszcza jeżeli chodzi o pracowników sezonowych. Z drugiej strony mieszczanie zwłaszcza bogatsi potrzebowali również ludzi do prac dorywczych. Tym czynnikiem zależało na łatwości dostania najemnika i dlatego de facto popierali swobodę „luźnych”. Wspomniana wyżej rozprawa J. A. Gierowskiego najgłębiej z dotychczasowych prac wprowadza nas w zagadnienie znaczenia „luźnych” dla gospodarstwa rolnego w Polsce zwłaszcza w XVII i XVIII wieku, ale i tu charakter źródeł (uchwały sejmikowe) powodował nam ustalić jedynie postulaty szlachty odnośnie do tej kwestii. Autor, opisując tendencje represyjne, uważa, że wzrastają one w drugiej połowie XVII wieku. W tym czasie i w pierwszych trzech dziesięcioleciach lat wieku XVIII wyrażają się one głównie w nakładaniu na „luźnych” specjalnych opłat, proporcjonalnie znacznie wyższych niż świadczenia podatkowe innych kategorii ludności wiejskiej. W latach 1730 — 1768 obserwuje autor szczególne nasilenie uchwał

mających na celu zniesienie swobody ruchu „luźnych”, przez przytrzymywanie wszystkich chodzących po kraju bez świadectwa swych panów. Wreszcie w późniejszym okresie daje się, zdaniem autora, zauważyć kładzenie nacisku na uchwalenie maksymalnych taryf dla najemnika w rolnictwie i na przymusowe kierowanie walejącego się „luźnych” do robót publicznych i przedsiębiorstw przemysłowych w mieście. Wiąże to autor z coraz silniej występującymi tendencjami kapitalistycznymi. Sam autor przyznaje, że pewna jednostronność źródeł, na jakich oparł swą pracę, uniemożliwia wyciągnięcie trwałych wniosków, że niezbędne są jeszcze badania oparte na szerszej podstawie źródłowej. Wydaje się, że badania takie powinny iść przede wszystkim w kierunku dokonania szczegółowego przekroju społecznej struktury ówczesnej wsi, która przecież nigdy nie była jednolita, ustalenie znaczenia pracy najemnej w gospodarstwie rolnym okresu rozradającego się feudalizmu i zbadania, o ile znaczenie to wzrasta pod koniec XVIII wieku w związku z początkami przechodzenia do form gospodarki kapitalistycznej i stwierdzenia, czy notowany przez N. Assorodobraj masowy napływ ludzi „luźnych” do miast, a zwłaszcza do Warszawy był zjawiskiem występującym już dawniej, czy też zaistniał dopiero w drugiej połowie XVIII wieku, oraz dokładnego zbadania w jakiej mierze przemysł manufakturowy opierał się na „luźnych” i czy i jaka rolę odegrała ta kategoria ludności w okresie tworzenia się nowoczesnego już przemysłu na ziemiach polskich w początkach XIX wieku (zagadnienie to postawił St. Arnold w recenzji pracy N. Assorodobraj w „Nowych Drogach” (Nr 3 z 1947 r.). Rozwiązanie dwóch pierwszych zagadnień być może pozwoliłoby dokonać przynajmniej przybliżonego szacunku ilościowego ludzi „luźnych”.

Badania takie napotkają jednak mogą, niestety, w wielu wypadkach na brak odpowiednich materiałów źródłowych.

Jerzy Michałski

LESZEK GOLIŃSKI

SIERŻANT GRISZA OSKARZA...

Na historycznym stosie majowym w roku 1933 płonęły obok dzieł Tomasza i Henryka Manna, obok essay'ów Stefana Zweiga i powieści Anny Seghers, także książki Arnolda Zweiga. Płonął sprawiedliwy sierżant Grisza Iljicz Paprotkin, który tyle zamętu posiał w umysłach poczytywych mieszczan berlińskich, a obok niego saper Bertin i Caliban. Płonęły wielkie nadzieje i mali ludzie z powieści wygnanego pisarza: co chwila obiecujący młodzieńcy w brązowych koszulach ze swastykami rzucali w rosnące plomienie nowe egzemplarze, wyciągane z pobliskich bibliotek.

Arnold Zweig należał do pisarzy poczytnych. Pochodził on spośród Niemców, którzy wojnę lat 1914 — 1918, inflację marki i pogromy Żydów traktowali nie tylko z uśmiechem zadowolenia, ironii, albo wstydu. Nie, Arnold Zweig dopatrywał się w tych niepospitych zjawiskach, które zwa się później historią, znacznie głębszych treści. Nie znaczy to, aby bawił się w prozektwa, a wywoływać swoje obławie sosem szlachetnego patosu. Nie służyła mu rola Kassandry. Trochę pesymistyczny, jak wszyscy mu rówieśnicy, nade wszystko był realistą, nie pobawionym sarkazmu i ironii. Pacyfizm lat powojennych lubił rzucać na „święte” stanydary cesarstwa bło i wyzywać się w zjadliwej krytyce tego, co nie wróci. Retrospektywna analiza nie wystarczyła jednak twórcy sierżanta Grisy: on pod krytyką rozumiał wyciąganie wniosków z tego, co było, aby zrozumieć to, co jest i domyślić się tego, co będzie. Była to aktywna postawa wobec materiału, z którego budował swoje opowieści.

Ogarniał go usprawiedliwiony lęk. Przebiegał się nieśmiało w obrazie świata, ukryty pod konturami wielkich wypadków: co najwyżej przeswierał stamtąd, jak łuna pod Verdun, jak światło z baraków jeńców rosyjskich „Nielatwo jest iść przeciw prądowi siedemdziesięciu milionów — pisał w „Młodej kobiecie z 1914 roku”. — Mniej odważy potrzebą do tego, by iść do ataku na żywych ludzi, niż by samemu przeformować swą wolę.”

Wier przemawiał do współczesnego mu pokolenia wspaniałym, jedynym stylem, prozą, której nie potędyliby się Tomasz Mann, kazał toczyć się powieściowemu wypadkom. W powieściach Arnolda Zweiga, szczególnie w trylogii wojennej, kryje się synteza tych lat, bije tętno wydarzeń. Błyskawicami ogniami fronty nonsens wojny wola z każdej strony.

Potworność niemieckiej biurokratycznej maszyny wojennej odkrywać będzie sierżant Grisza, jeniec wojenny nr 173 z powieści „Spór o sierżanta Grisza”. Wierny, dobry sierżant Grisza, przyjacielski chłop, zginie rozstrzelany niepotrzebnie, umrze trzy razy, uśmiercany potwornością niemieckiej maszyny wojennej, przeartej biurokratyzmem. Arnold Zweig w swojej wielkiej szlachetnej powieści ukazuje całą ohydę „porządku niemieckiego”, dzieła junkrów, ziemiecielniczego cesarza i sprytnych kupców w mundurach.

„Wśród wiejskich chłopów, żydowskich i litewskich, potem i białoruskich, którym przecie zawsze roją się po głowach gadki i baśnie, jest rzeczą pewną i stwierdzoną, że włoży się duch, „żołnierz car”. Wyższy jest, niż najwyższy jałowiec, brodę ma związaną z tyłu, by na nią nie nastąpić. Ze strzelbą na ramieniu, z pustymi ocołodami maszeruje po nocach przez kraj w górę rzeki: dlatego wyją psy. Może też, jeśli zechce, chodzić po samej rzecze, bo czemuż jest? Niklejszy od powietrza. Duch poległych żołnierzy, carski żołnierz, maszeruje z Polski, maszeruje z Litwy, maszeruje przez Białą Ruś, przez żydowskie wsie, maszeruje, maszeruje na wschód. Biada carowi, kiedy go żołnierz dosięgnie! Biada carowi, kiedy wyrzuci się przed nim puste ocołody, martwe i trupie, a bagnet, czerwony od krwi tysięcy Turków, Austriaków, Niemców wgrzybie się w jego drzące trzewia...”

W tej bezsensownej a straszliwej wojnie, dudnią, cwałują przez powieści Arnolda Zweiga czterej jeźdźcy Apokalipsy, rabin z rozwanymi brodami ciskają okropne klątwy, fatum paraliżuje wysiłki ludzkie, życie staje się głupstwem i ironią. Lecz poprzez cały pozorny mistycyzm wojny przecierają zbrodnicze siły, spracowały ład społeczny, wykrywają się szkaradne maski ludzi, którzy mienia się bogami wojny a są pospolitymi zbrodniarzami. Arnold Zweig nie oskarża więc, tylko ośmiesza, zohydza, czyni wstrętnymi tych ludzi, ich schemat myślowy, ich cynizm, jakże bezduszny wobec rozpacz w sercu prostego człowieka. Saper Bertin i tego młoda żona ukazani są tylko dla uwypuklenia idiotyzmu wojny: tę samą rolę pełni sierżant Grisza.

Są tam, w salonach panów generalów, w kwaterach głównych, ludzie działający, jak martwe maszyny — uosobienia pruskiej pychy i zbrodniczości. Sprawiedliwość i wiara w Boga są dla nich kamieniem węgielnym. Prus, ale sprawiedliwość pruska i pruska

wiara w pruskiego Boga, tego, który króluje na miedzianych klamrach przy pasach. Cóż znaczy przy tej wspaniałej, akuratnej maszynie pruskiego militarysty życie jeńcy e go rosyjskiego jeńcy? Nic. Mniej, niż kamień przydrożny. Mniej, niż urlop sapera Bertina.

Akcja „Sporu o sierżanta Grisza” toczy się już w tym roku wojny, kiedy żołnierze wola do siebie przez linię frontu „towarzyszu”, a w okopach we wszystkich językach świata liczą miesiące, dzielące ich od pokoju. Sierżant Grisza ma możność przekonać się o sobie i o duchu, panującym w szeregach armii niemieckiej, która parta rozkazem i stanowiąca bezwonną masę, maszeruje na wschód, gdzie dzieją się wielkie rzeczy. „My nie Rosjanie — mówią do siebie szepem landszturmistów. — Z nami mogą robić, co chcą...”

Tak twierdzą drobniomieszczenie, tęskniący do swoich osieroconych skłęków i warsztatów rzemieślniczych, do opuszczonych biurów w dalekiej ojczyźnie. Są bezradni i mimo wewnętrznych protestów idą posłusznie, aby przyczynić chwały generałowi Schieffenzahnowi, „bogowi” wojny.

Oprócz nich jednak istnieje w powieściach Zweiga proletariariat. Przejawia się siła ideologii proletariackiej w cichych, nocnych rozmowach, w przypadkowych spotkaniach, żyje w olbrzymiej masie żołnierskiej, zawałającej wszystkie fronty, wszystkie etapy. Robotnicy w mundurach marzą. Wierzą w Liebknechta: nazwisko to działa, rozpamiętanie, czy, rozwściekła panów oficerów. Przeżywać do broliwie kręgle imionami bohaterów narodowych, panowie oficerowie unikali jak ognia, nazwiska Liebknechta. „Nazwisko to leżało wogóle poza możliwością użycia go, jako przeczyszcza: nadawało się do wzięcia. Nie wchodziło wogóle w rachubę” — pisał Zweig.

Kliem, jednorek nauczyciel pływania mówi do bogatego Dawida Wahla: „Czekajcie tylko, panice, kiedyś to się odmieni, i to w niedługim czasie. Na wojnie dociąga się może ludzie, Liebknecht powie im już czego”. Woźnica, który przywiozł zwłoki rozstrzelanego sierżanta Grisy na cmentarz, na wzorowy, niemiecki cmentarz, gdzie śpi snem wiecznym tyłu jego rosyjskich i niemieckich towarzyszy, wypowiada tylko jedno zdanie, tylko na jedno go stać. „Ja nie chciałem wojny” — mówi, odwracając twarz.

Alina Witkowska

„Pieśń o rynku i zaułkach”

Długoletni brak pełnego kontaktu kulturalnego z Czechami spowodował, że nazwisko Jana Nerudy jest mało znane polskiemu czytelnikowi. W rozwoju zaś czeskiej literatury i kultury narodowej ma ono znaczenie niemal przełomowe.

Jan Neruda, przebywał w Pradze w latach 1834—1891. Dzieciństwo zatem Nerudy przypadło na gorący, ożywiony ideami rewolucji i wolności etap życia narodowego Czechów. Lata poprzedzające Wiosnę Ludów są dla Czech okresem uścisłej pracy nad uprzedmiotowieniem kraju, dla zrealizowania przebudowy gospodarczej. Koniecznym stało się stworzenie własnego, burżuazyjnego państwa, instytucji politycznej gwarantującej na tym etapie pomyślny rozwój produkcji kapitalistycznej. Idee przewrotu burżuazyjno — demokratycznego, zahamowane w swym rozwoju przez reakcję polityczną po roku 1948, znalazły w Nerudzie utalentowanego propagatora. Młodocześnie liberalna partia podejmie, aczkolwiek w zwożonym zakresie, hasła postępowej burżuazji swego kraju sprzed Wiosny Ludów, jej gorliwym zwolennikiem stanie się Neruda.

Poeta i prozaik Jan Neruda debiutował zbiorem wierszy pt. „Kwiaty cmentarne” (1857); z innych utworów poetyckich najpopularniejsze są: „Księga wierszy” (1867) i „Pieśni Kosmiczne” (1878). Jako prozaik opublikował utwory pt. „Różni ludzie”, „Trhání” (tj. robotnicy zatrudnieni przy budowie kolei) a nade wszystko cykl niezrównany obrazek-praskich pt. „Opowiadania z Malej Strany” (polski tytuł w wydaniu P. I. W. brzmi „Opowiadania ze starej Pragi”) *) „Opowiadania ze Starej Pragi” to zbiór 13 obrazków zamkniętych w ramy dwu obszernych panoram z życia praskiej kamienicy pt. „Tydzień w cichym domu” i „Figurki”. W pozostałych obrazkach, raczej migawkowych, ukazuje autor drobne wyinki z życia mieszczan, skupia się bardziej na jakimś wydarzeniu czy postaci, niż problemie. „Pan Ryszanek i pan Schlegi”, „Doktor Patalach”, „Wodnik”, „Jak pan Worel przepalił sobie fajkę” są tego typu opowiadań najlepszymi przykładami. Wiedzą, łącząca wszystkie obrazy praskie, jest wspólny bohater — dobroduszny mieszczanin czeski lat 60—70-tych. Bez względu bowiem na różnicowanie ucieleśnienia autora (mieszczaństwo zgermanizowane i rdzenne czeskie) obracamy się ciągle w kręgu przedstawicieli tej samej klasy, z jej charakterystyką.

*) Jan Neruda „Opowiadania ze Starej Pragi”, PIW, 1949, s. 310, tłumaczyła Maria Erhardtowa.

„Wprawdzie idą wieści — komunikuje oficerom generał Schieffenzahn — że we flocie, w Wilhelmshafen wybuchły groźne i niebezpieczne rozruchy i że posłowie w Berlinie z wściekłością chcieliby przeszkodzić czwartej zimie wojny i głodu — ale za to, moi panowie, mnoży się ilość kwadratowych kilometrów, na których w przyszłości władac ma kasta niemieckich magnatów, — aż do Finlandii już, ba, łącznie z Finlandią, moji panowie!”

Cóż z tego, że w tym samym czasie i dla tego samego celu w myśl niemiecko — generalskiego porządku ginie Grisza i tysiące jego kolegów i towarzyszy i współrodaków — kogo to obchodzi? Wojna przedłuża również egzystencję panów generałów, a agzystencja ta jest święta: panowie fabrykanci także ją sobie chwala — od czegoż zresztą ma się przyjaciół i krewnych w armii?

Widząc nadchodzący pucz hitlerowski i znając jego ideologię, w ostatnich latach przed monarchijskim styczniem, Arnold Zweig staje się płomiennym trybunem demokracji. Widział w niej „wewnętrzny popęd, który zbliża narody, chce wzajemnego poznania się, uzupełniania się, związania się”. „Człowiek, żyjący pod dyktandem jest skazany, aby nigdy nie wykażać swoich dobrych stron. „Pogwałcenie praw człowieka” jest dla Zweiga — liberała największą hańbą, czy chociażby będzie o jeńca nr 173, sierżanta carskiej armii Grisy, czy Żyda z Kowna, czy robotnika z Berlina.

Najgorzej protestował Zweig przeciwko rasizmowi i nacjonalizmowi. Było mu danym przeżyte triumf tego rasizmu. Widział, jak już nie dziesiątki tysięcy, ale miliony Żydów uśmiercali pruscy feldfeble za pomocą przemysłowych sposobów. Tego już nie można było opisać piórem: tutaj nie jednolista padała ofiara, ale całe narody.

Te swoją bezpośrednią walkę rozpoczął jeszcze w roku 1932 podczas zebrania Związku Pisarzy Niemieckich. Było to zebranie ze wszech miar historyczne i przełomowe w skutki dla Arnolda Zweiga.

„Horda ma być naturalną formą życia, wódz — bezkrytycznie przyjmowanym wywabieniem od strachu, od niemożności porażenia sobie z życiem — z życiem dorosłych, w którym mają decydować rozum, namysł i argumenty. Stąd detronizacja rozsądku, proklamacja

władania elity, wyższej dzięki urodzeniu, dzięki mistycznej sile krwi, rasy. Łaknienie mocy wynaturza się, histeria krzykactwa, polajaniek i państwa zastępuje... dojrzały sposób prowadzenia rozgrywek, nawet w parlamentach. Kultura religijna obniża się z powrotem do stopnia fetysyzmu, do kultu woda”.

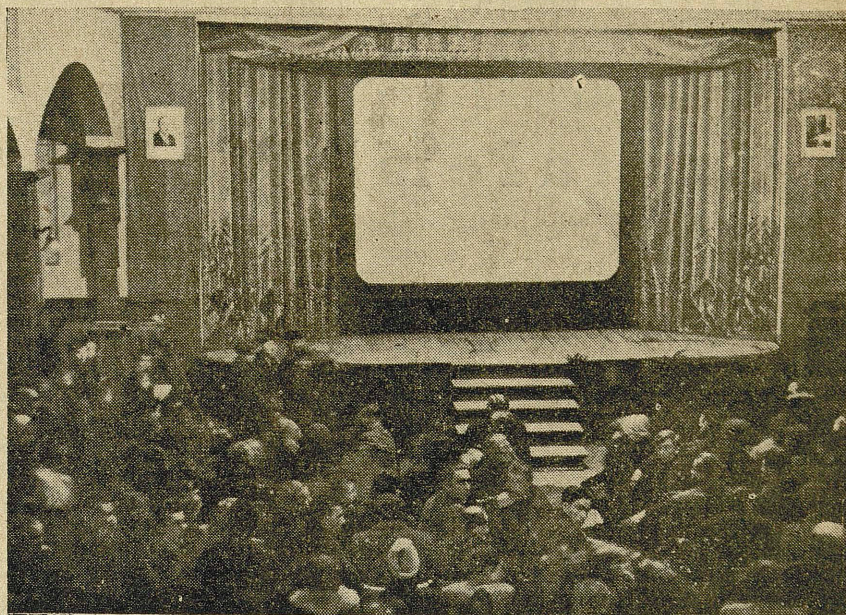
Kto wygłaszał takie zdanie w rok przed dojściem Hitlera do władzy, musiał się skazać na „normalny” bieg życia w okresie reżimu hitlerowskiego. Arnold Zweig podał śladami obu wielkich Mannów: w roku 1933 widzimy go we Francji, gdzie należy do emigracyjnego Związku Pisarzy Niemieckich. Stąd udaje się Arnold Zweig do Palestyny, gdzie zatrzymuje się na stałe. Pisz tu dokończenie trylogii wojennej „Wychowanie pod Verdun”, a potem „Intronizację króla”, wreszcie „Przebrzmiałe dni”. W roku wybuchu nowej wojny powstaje tom essay'ów p. t. „Alpy czyli Europa od epoki lodowcowej do upadku hitlera — faszyzmu”. Rodzą się tu już w czasie wojny dramaty: „Bonaparte w Haifie” i „Wypędzenie w r. 1744”, wreszcie powieść „Siekiera z Wandsbeck”.

W roku 1948 przybył Arnold Zweig na dłuższe odwiedziny do Niemiec. W Pradze Czeskiej zaskoczyła go choroba, która nie pozwoliła wielkiemu pisarzowi przybyć na Kongres Intelektualistów w obronie pokoju do Wrocławia. Przesłał więc Zweig jedynie adres, solidaryzujący się z uchwałami Kongresu Wrocławskiego. „Serce pisarza jest zawsze tam — czytano na Kongresie Wrocławskim słowa Zweiga — gdzie inni pisarze działają dla przyspieszenia tego, co łączy, i przerywania tego, co dzieli. Duch, o którym faszyzm sądzi, że zdoła go wytepić, głęboko odetchnął, gdy jego wróg padł. Pokażmy, że jesteśmy godni reprezentować go na nowo w połowie wieku XX i że nie otrzymaliśmy na próżno w darze naszych talentów i sił”.

Walkę w obronie pokoju kontynuował pisarz konsekwentnie w Berlinie w szeregu odczytów, ponownie odwiedził Czechosłowację.

Witając Arnolda Zweiga z delegacją pisarzy niemieckich w Warszawie jesienią roku 1949 na akademii poświęconej rocznicy urodzin Goethego, witaliśmy jednego z czołowych niemieckich pisarzy postępu i pokoju, jednego z godnych spadkobierców wielkiej tradycji Goethego.

Leszek Goliński



Nowocortwarta sala kinowa we wsi Bojadla, pow. Zielona Góra.

Leszek Goliński

PIONIERZY DZIESIĄTEJ MUZY

Plan 6-letni przewiduje uruchomienie co najmniej jednego dźwiękowego kina stałego w każdej gminie wiejskiej. Do końca planu sześciolatniego powstanie sieć kin wiejskich: w większych gminach powstaną nawet po dwa kina: na 3052 gmin wiejskich przewiduje się otwarcie 3500 kin. Ponadto plan sześciolatni projektuje uruchomienie jeszcze około 2000 kin w t.zw. sieci społecznej, to znaczy w świetlicach fabrycznych, przy większych zakładach pracy. 2200 z tych kin jeszcze w tym roku zostanie oddanych do użytku.

W rozwoju kinematografii polskiej przebieg z kina obywatelskiego do stałego (o czym pisała niedawno „Wiś”) jest nie małą rewolucją. Dotychczasowa forma obsługi wsi kinami ruchomymi jest formą kosztowną i niewygodną w masowej eksploatacji. Ponadto kino ruchome staje się zawsze jedynie atrakcją, dorywcą i przypadkową, działa raczej, jako nowość, o której się na wsi długo pamięta i mówi, ale nie spełnia w pełni swych społecznych zadań wychowawczych. Dopiero sieć stałych kin wiejskich pozwoli na planowe podnoszenie kultury wsi polskiej, na wychowanie nowego pokolenia chłopów polskich, świadomych budowniczych socjalizmu.

Województwa zachodnie, jako najbardziej zelektryfikowane, otrzymały już i otrzymują od 1 kwietnia br. stosunkowo dużą ilość stałych kin wiejskich. Na podstawie obserwacji, jakie można było zbierać w okresie dwu ostatnich miesięcy, można już mówić o pewnym zasobie doświadczeń, niesłychanie istotnych, jeśli idzie o tę niespotykaną i nieznana dotąd w Polsce instytucję, jaką są stałe wiejskie kina.

Weźmy przykładowo jedno kino wiejskie stałe na Dolnym Śląsku, istniejące już od 1 kwietnia br. Mam na myśli Kostomłoty w powiecie Środa Śląska.

Kostomłoty są typową dla Dolnego Śląska wsią, która w Małopolsce lub też w Polsce centralnej zyskałaby sobie nazwę miasteczka. Wsi ta posiada obszerny rynek, murowane, nawet jednopiętrowe domy, kilka sklepów spożywczych ZSCh, piękny dom Komitetu Gminnego PZPR, okazały budynek Rady Gminnej. Skupia się tutaj życie południowo-zachodnich rejonów powiatu Środa Śląska. Kostomłoty są niejako drugim centrum tego powiatu, wzięwszy pod uwagę, że sama Środa Śląska liczy zaledwie 3 tysiące mieszkańców.

W Kostomłotach mieszka około 550 osób. Są to po większej części rodziny repatriackie z Żagu. Niewątpliwie na decyzję uruchomienia kina w Kostomłotach wpłynął przede wszystkim fakt, że Kostomłoty są zelektryfikowane i że posiadają odpowiednią salę świetlicową, ale głównie zdecydowała tu na pewno postawa ludności samej wsi.

Jan Siekierski, kierownik kina w Kostomłotach, razem z Franciszkiem Biedkiem operatorem są synami małych chłopów, obaj są robotnikami rolnymi i aktywnymi ZMP-owcami. Z własnej woli, z „ciekawości świata”, gdy tylko dowiedzieli się o organizowaniu we Wrocławiu kursach dla kierowników i operatorów kinowych, zgłosili się i po miesiącu wrócili do swojej wsi z dyplomami w rękach.

Pierwszą niespodzianką przeżył Siekierski w dzień otwarcia kina. Ludzi przyszło nad podziw dużo. W sali jest tylko 100 miejsc siedzących, tymczasem przybyło na seans aż 202 osoby. Byli to przeważnie mieszkańcy samych Kostomłotów, przeważnie młodzież i dzieci. Na sali zrobiło się duszno, okien nie można było otwierać, a Biedkiom kilka razy groziło, że zawali się razem ze swoim stołem i aparatem.

W sobotę wyświetlono jeden, w niedzielę dwa seanse. Na wszystkich frekwencja ogromna. Na drugi tydzień program już został zmieniony ku szczeremu żalowi wielu widzów.

Jeśli z 550 mieszkańców Kostomłotów 200 obecnych jest na jednym seansie, to łatwo zrozumieć, że trzy seanse zdolne są obsłużyć całą ludność wsi z nadwyżką. Cóż się więc stało, że na sali był wiecz-

ny tłok, a setki ludzi musiały wędrować spod kasy do domu?

O odpowiedź łatwo.

Po prostu mieszkańcy Kostomłotów nie poprzestali na jednorazowym obejrzeniu filmu.

Stosunkowo niskie ceny biletów (20 — 40 zł) i ciekawe filmy zachęcały do powtórnego obejrzenia filmu. W rezultacie prawie cała widownia uczestniczyła w niedzielę na dwu seansach, a często, zjawiali się na sali ci sami ludzie, którzy widzieli już ten film w sobotę. Nie pomogli perswazje. Dziś już na długi czas przed kasą kinową, w której reżyzuje kierownik Siekierski, długie ogonki.

Nie tylko to jednak wpłynęło na przepełnienie. Niezależnie od tego, czy padał deszcz, czy świeciło słońce, czy nogi tonęły w błocie, zaczęli do kina w Kostomłotach ciągnąć gęsie ludzkie z odległych miejscowości. Niezadarmo przyjeżdżali tu furmankami po 12 — 14 kilometrów. Jak kiedyś kino obywatelskie szukało drogi na wieś, tak obecnie sama wieś przybyła do swego kina.

Kino staje się powoli na wsi potrzebne, jak chleb powszedni. W ciągu dwu miesięcy mieszkańcy Kostomłotów i przyległych wsi tak bardzo przywykli do swego kina, że teraz, gdy przyjdzie się do nich w owiedzielną z ożywieniem rozprawiają o tym, że czy innego filmu. Treść „Czarnego żlebu” znają już na pamięć, byli na nim po trzy razy.

Jakie z kostomłockiego przykładu nasuwają się wnioski?

Są one dwójakiego rodzaju: technicznego i repertuarowego.

Kino wiejskie ze względu na zajęcie całej ludności wiejskiej w czasie letnim nie może być czynne przez cały tydzień, zresztą najprawdopodobniej zabrakłoby mu widzów. Wydaje się jednak, że w miesiącach zimowych i jesiennych można by uruchomić kino w bardziej ludnych wsiach także i w niektóre dni powszednie.

Dzieci szkolne powinny być sprwadane na seanse zamknięte, grupowo. Umożliwiłoby to kinu większą operatywność, a przy tym można by uniknąć zbędnego natoku i wyjaśnić należycie dzieciom oglądane filmy.

Od czasu do czasu można by też z udziałem prelegenta z większych ośrodków przeprowadzać ciekawe dyskusje na temat dopiero co oglądanych filmów.

Filmami wiejskimi, ich wyposażeniem technicznym, winny zająć się w sposób żywszy, niż dotychczas, ekipy łączności z miasta. Robotnicy miejscy udeśnialając kino wiejskie, a następnie uczestnicząc wspólnie z chłopami na seansach filmowych, zbliżyliby się jeszcze mocniej do wsi, jeszcze bardziej zacieśniłoby sojusz robotniczo-chłopski, zważywszy entuzjazm, jakim wieś darzy swoje pierwsze kina stałe.

Dosyć istotnym problemem jest także sprawa repertuarowa.

Polskie filmy oświatowe mają oddawaną wyrobioną na świecie markę. Wytwórnia Filmów Oświatowych w Łodzi wyprodukowała dotąd 42 filmy oryginalne i opracowała 151 filmów zagranicznych. Zbyt mało jednak opracowano dotychczas filmów oświatowych, należałoby również w większym niż dotąd stopniu organizować zamknięte seanse dla szkół czy też pracowników PGR-ów lub aktywnych spółdzielni produkcyjnych filmy o pracy robotnika i górnika, lub też tego rodzaju krótkometrażówki dodawać do filmów długometrażowych fabularnych. Najtrudniejsze akcje propagandowe i uświadamiające staną się akcjami bardzo łatwymi do przeprowadzenia, jeśli z pomocą agitatorów popieleszy potężna broń, jaką jest film. Ma to szczególne znaczenie w procesie uświadczenia wsi i stawia przed Filmem Polskim nowe, palące problemy produkowania jak największej ilości filmów specjalnych na użytek wsi. Zaznaczyć warto, że widz wiejski jest znacznie bardziej wdziedny od miejskiego i że należy wykorzystać ogromną siłę atrakcyjną kina wiejskiego jeszcze tak długo, jak długo jest ono nowością.

L. G.

Alina Witkowska

